Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 10 czerwca 1945 r. | Nr 28

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

W sprawie wolności nauki

Hasło wolności nauki, wolności prowadzenia prac naukowo-badawczych i ogłaszania ich wyników — to jeden z najbardziej bezspornych i nie budzących zastrzeżeń postulatów postępowej myśli. Tradycja jego sięga czasów Sokratesa i trwa poprzez dzieje myśli ludzkiej.

Sprawa sama nie jest jednak ani prosta, ani bezsporna. Okres międzywojenny i zwłaszcza ostatnia wojna dostarczyły obfitego materiału do przemyśleń na ten temat.

Przede wszystkim — czy przy obecnym stanie wiedzy badawczej, wobec tych wymagań, jakie stawia dzisiejsza technika badań, nauka może być całkowicie wolna, wolna w integralnym znaczeniu tego słowa?

Dawno minęły czasy, kiedy wartości naukowe tworzyć można było spacerując w ogrodach i gajach Hellady, a proces twórczości naukowej miał dwa jedynie ogniwa — myśl twórczą i przyobleczenie jej w słowa, kreślone na papirusie lub pisane rylcem na tabliczkach. Praca uczonego-badacza naszych czasów, to — poza twórczym wysiłkiem myśli — również opanowanie wszystkich, z roku na rok coraz bardziej skomplikowanych i bogatych narzędzi wiedzy, to umiejętność posługiwania się złożoną techniką badawczą.

Są dziedziny twórczości naukowej, w zakresie których narzędzia wiedzy są tak szacowne, że stworzenie ich przekracza ramy możliwości narodów. Uczony, który zasiada przed największym, a przez to jedynym w swoim rodzaju teleskopem świata, którego możliwości twórcze są przez to zwielokrotnione — jest wyjątkowym wybrańcem losu. Nie znaczy to jednak, że hasło wolności badań nie stosuje się do astronomów w ogóle. Wolność badań jest w pewnym sensie ograniczona ilością materialnych narzędzi wiedzy, ich rozmieszczeniem geograficznym, stopniem ich upowszechnienia. Teleskop, ultramikroskop, prądnica wysokiego napięcia, biblioteka specjalna — oto narzędzia, z których korzystanie możliwe jest tylko w wyniku selekcji reflektujących na nie badaczy. Najbardziej abstrakcyjne nauki — jak czysta matematyka lub logika — wymagają tak precyzyjnego narzędzia, jak literatura przedmiotu, biblioteka specjalna i to taka, której skupienie w ręku prywatnym jest prawie niemożliwością, chyba, że jest dziełem całego życia ludzkiego.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nigdy chyba w Polsce nie opracowano i nie przygotowano do druku takiej ilości podręczników dla szkół wyższych, jak za czasów okupacji niemieckiej. Czemu to należy przypisać? Pozbawieni narzędzi wiedzy uczeni, którym odebrano w ten sposób wolność prowadzenia badań, nie mogli się wyrzec twórczości naukowej w postaci choćby podsumowania i utrwalenia swej wiedzy dotychczasowej.

Kwestia wolności nauki, to przede wszystkim zagadnienie, w czyim ręku znajdują się narzędzia wiedzy, kto ma do nich dostęp i może z nich korzystać.

Zasada wolności prowadzenia badań w tej postaci, jak ją rozumieli pierwsi jej głosiciele, jest w naszych czasach fikcją, hasłem papierowym, pamiątką historyczną. Równie archaicznie brzmi zagadnienie wolności publikowania wyników badań. Wolność ta bowiem ograniczona jest istnieniem złożonego aparatu publikacyjnego, korzystanie z niego nie jest łatwe i nie jest dostępne dla każdego.

I w tej dziedzinie kwestia wolności, to przede wszystkim kwestia struktury i organizacji.

Mając poza sobą okres zwycięskiego pochodu faszyzmu poprzez kraje Europy, tej ostatniej próby zgniecenia wolności wszelakiej i najskromniej nawet pojętej, stwierdzić musimy, że walka o wolność nauki, o wolność prowadzenia badań naukowych i ogłaszania ich wyników, musi być obecnie podjęta z największą siłą. Wymaga ona zarazem sprecyzowania pojęć.

Przykład Niemiec hitlerowskich wymownie dowodzi, że wolność nauki można zabić, a samo pojęcie spaczyć, że można wstrzymać proces narastania wiedzy, pozorując zręcznie jego istnienie i trwanie.

Czym była „nauka narodowo-socjalistyczna", nauka faszyzmu, nauka rasizmu? Była bezprzykładnym fałszem, ubranym w kształty prawdziwej wiedzy. Była pseudonauką, opartą jedynie na potędze machiny państwowej opanowanej przez ciemnych fanatyków. Rozumiejąc znaczenie nauki, dyskontując szacunek przeciętnego człowieka dla niej, hitleryzm zastosował i w tej dziedzinie również bezwstydne fałszerstwo. Opanowanie wszystkich narzędzi wiedzy przez tępych maniaków, to jeden tylko z licznych środków, które miały wyrugować naukę prawdziwą — głosicielkę w najlepszej wierze dociekanej prawdy obiektywnej — i zastąpić ją pseudonauką faszystowską. Fizyczne unicestwienie prawdziwych uczonych, fałszowanie faktów, zmobilizowanie bardziej rozgarniętych i uległych sobie brunatnych urzędników, odkomenderowanie ich do „odstawiania" uczonych, zniszczenie widomych znaków prawdziwej nauki i jej strony dokumentarnej przez palenie książek, to są metody, które doprowadziły do skasowania nie tylko wolności nauki, lecz nauki samej. Ostatni etap tego procesu faszyzacji a zarazem barbaryzacji nauki — to „naukowe" badania „uczonych" niemieckich, dokonywane na więźniach Majdanka i Oświęcimia, to potworne postępki wytresowanych zbrodniarzy, którzy doskonale opanowali technikę posługiwania się narzędziami wiedzy, zabrawszy jej ducha, to zarazem — w skrócie — obraz całej „nauki" faszystowskiej.

Od tej „nauki" odwracamy się z pogardą i zgrozą.

To, co się stało, to nie był przypadek, nie był postępek jednostek, to był proces, wynik działania systemu, wykwit ideologii, której szczątki tlą się pod gruzami Trzeciej Rzeszy, a iskierki rozsiane są wszędzie tam, gdzie dotarł pożar faszyzmu.

W tej „ideologii" tkwi zarodek niebezpieczeństwa, które trzeba wykrywać, które istniało i potęgowało się także w Polsce przedwrześniowej.

Przypomnijmy sobie bowiem sprawę obsadzania katedr na uniwersytetach polskich, które były zarazem najpoważniejszymi ośrodkami nauki badawczej, wyliczmy tych młodych uczonych, dla których zamknięty został dostęp do laboratoriów i na katedry z powodów narodowościowych, politycznych, uprzytomnijmy sobie postępy procesu selekcji klasowej, który eliminował z zasięgu prac badawczych warstwę socjalnie upośledzoną, przypomnijmy sobie stęchłą atmosferę wyższych uczelni. Pozornie oderwane od siebie fakty narastały, tworzyły całość, już krzepły w system. Wolność nauki badawczej w Polsce stawała się coraz wyraźniejszą fikcją, niebezpieczną, bo usypiającą sumienia frazesem. Prace naukowe w Polsce były pisane w gabinetach, do których przez zamknięte okna docierały odgłosy boju na dziedzińcach uniwersyteckich, odgłosy uderzeń kastetów i pałek.

Całkiem idealistycznie, a raczej anarchicznie pojęta wolność pracy naukowej jest fikcją. Cóż mamy wobec tego czynić? Należy znaleźć rozsądne, społecznie uzasadnione granice wolności. Idzie przecież tylko o sprawę zasięgu tych granic, o właściwe ich ukształtowanie. Chodzi — podobnie, jak w innych dziedzinach życia zbiorowego — nie o wolność całą, o wolność dogmatycznie pojętą, lecz o maximum wolności. Maximum wolności zapewnić nauce powinno państwo demokratyczne. Musimy się liczyć z tym, że proces koncentracji kosztownych narzędzi wiedzy i aparatu publikacyjnego w ręku państwa, zapoczątkowany przez samą dialektykę rozwoju wiedzy, będzie postępował naprzód. Państwo demokratyczne, które gwarantuje maksymalny wpływ narodu na życie polityczne, realizować też będzie maximum wolności badań naukowych. Jakże należy zdążać do tego, by zasada abstrakcyjna stała się realną treścią życia narodowego?

Pierwszym żądaniem demokracji powinno się stać udostępnienie narzędzi wiedzy największej ilości badaczy, wyłowionych drogą selekcji nie klasowej, lecz opartej na walorach intelektualnych. Jest to niemożliwe bez upowszechnienia oświaty. Cóż z tego, że konstytucja teoretycznie zapewni wolność badań każdemu, jeśli organizacja oświaty nie da każdemu możności osiągnięcia umiejętności niezbędnych do produkcji naukowej. W dotychczasowym brzmieniu zasada „wolności nauki" miała odcień negatywny, bierny: „jeśli potrafisz, to ci nikt nie broni". W miarę demokratyzacji oświaty powinna ona nabrać sensu pozytywnego, czynnego: „jeśli jesteś zdolny, uzyskasz na pewno możność rozwoju".

Poprzez racjonalne upowszechnienie konsumcji wiedzy doprowadzimy do stworzenia wartościowych kadr jej producentów. Rozszerzenie granic pozytywnie, czynnie pojętej wolności badań jako umożliwienie wszystkim uzdolnionym twórczości naukowej, to w pewnym sensie również sprawa organizacji tych badań. Konieczność wyodrębnienia sieci instytucji badawczych z dotychczasowej gmatwaniny zakładów wyższych uczelni, zakładów o mieszanym charakterze pedagogiczno-badawczym, wydaje się sprawą dojrzałą i pilną.

Wyodrębnienie i upaństwowienie narzędzi wiedzy, nie w sensie likwidacji laboratoriów i bibliotek prywatnych, lecz w sensie włączenia ich do określonej sieci, poddającej się łatwej kontroli i podporządkowanej określonym ośrodkom dyspozycyjnym, sieci planowo narastającej i gęstniejącej, równomiernie obciążonej zadaniami — to drugi, obok upowszechnienia oświaty, krok naprzód ku realizacji należycie rozumianej wolności nauki.

Skupienie kontroli działania całej sieci i poszczególnych jej komórek w ręku autorytetów, których opinia może być jeszcze poddana kontroli i krytyce społecznej, — to warunek sprawnego i celowego funkcjonowania aparatu tworzenia wartości naukowych.

Demokracja nie boi się nauki, nie lękają się jej doktryny społeczne, wyrosłe na gruncie teorii naukowych. Uczony nie powinien się lękać demokracji z jej tendencją społecznej oceny i krytyki działań jednostki w ramach zbiorowości. Z krytyki i samokontroli wyrasta bowiem to, co nazywamy prawdą, a co dla naszych uczonych właśnie jest najdroższe. Nie powinien się lękać ingerencji społecznej badacz, który spodziewa się, iż jedynie pewne, ściśle utylitarne nauki będą przez państwo demokratyczne popierane. Niewątpliwie pewne rodzaje prac naukowych, te mianowicie, których wyniki dają się szybko społecznie spożytkować i zastosować w życiu gospodarczym, spotkają się ze strony państwa z największym poparciem. Tak będzie i tak być musi. Wiedza jest zbyt potężnym narzędziem społecznym, by mogła istnieć poza zainteresowaniami państwa, będącego wykładnikiem życia zbiorowego, by mogła istnieć obok państwa, na marginesie niejako. Czy jednak faworyzowanie przez państwo badań agrochemicznych, usprawiedliwione pilnymi potrzebami społecznymi, uszczupli wolność badań astronoma lub archeologa, skoro tylko zdemokratyzowane zostaną narzędzia tworzenia wiedzy w każdej gałęzi nauki?

Potworne wyniki teorii i praktyki pseudonauki, wyrosłej na gruncie ideologii faszystowskiej uprawniają wszystkie demokracje świata, zarówno młode, jak i tradycyjne, do szczególnej czujności w stosunku do tego wszystkiego, co trąci faszyzmem. Ludzie zarażeni ideologią faszystowską nie mają prawa posługiwać się narzędziami wiedzy sprofanowanymi przez ich brunatnych braci duchowych, różnią się od nich bowiem tym tylko, że nie mogli, czy nie zdążyli wziąć czynnego udziału w praktycznym zastosowaniu swych teorii. Takie „ograniczenie" wolności twórczej pracy naukowej powita każdy uczony z uznaniem.

Prawdziwa bowiem nauka, pozornie tylko beznamiętna i obojętna na zagadnienia ściśle z nią związane, niezależnie od swych bezpośrednich zadań — jest także wielką potęgą umoralniającą ludzkość, kształtującą powoli lecz wytrwale typ nowego, wolnego, a zarazem społecznego człowieka.

ARTUR SANDAUER

Nieco filologii

„Parcelacja objęła wszystkie posiadłości ziemskie, znajdujące się w obrębie powiatów mantuańskiego i kremońskiego".

Któż to pisze? Czy jeden z naszych utalentowanych publicystów na łamach jednego z naszych poczytnych czasopism? Nie, to Publius Aelius Donatus na łamach znacznie mniej poczytnej „Vita Vergilii". Lata czterdzieste, w których się ta parcelacja odbyła, były wtedy zaopatrzone jeszcze w znak minus. Słowem, rzecz działa się w drugiej połowie I wieku przed naszą erą, kiedy to późniejszy cesarz August podzielił między zasłużonych we wojnie żołnierzy majątki, położone we Włoszech północnych. Parcelacja dotknęła m. in. właściciela ziemskiego, któremu na imię było Publius Vergilius Maro, człowieka znanego bardziej z działalności na polu literatury, niż rolnictwa. Obszarnik ten w bardzo małym stopniu zdawał sobie wówczas sprawę, że właściwym jego powołaniem jest uprawianie poezji, nie zaś żyta. Celem odzyskania majątku i uzyskania odpowiednich protekcyj — bez czego nawet w heroicznej starożytności nie mogło się obejść, — pobity poza tym dotkliwie przez nowego właściciela, wyjechał z rulonem wierszy do stolicy. Traf zdarzył, że ówczesny minister oświaty znał się na poezji i był mecenasem nie tylko przez małe, ale i przez duże M; zwał się bowiem Maecenas. To, że starania poety dzięki wstawiennictwu niejakiego Asiniusza Polliona zostały uwieńczone skutkiem i że majątek mu zwrócono, wydaje się nam szczegółem błahym i nie licującym z godnością owych ze wszech miar heroicznych czasów. Bardziej godne uwagi jest to, że prośby o oszczędzenie majątku przy parcelacji i późniejsze podziękowania zredagowane są heksametrem i noszą tytuł „Sielanek". Pierwsze arcydzieło największego poety rzymskiego jest więc wierszowanym podaniem.

Ta postawa defensywna: obrona skazanej na wywłaszczenia warstwy, mogła się uciec jedynie do argumentów uczuciowych. Stąd niewątpliwy sentymentalizm tej apologii klasy ziemiańskiej znad Padu. Nie długo jednak mógł poeta tej miary pozostać na ściśle obronnych pozycjach. Polityka rządu, zmierzająca do odbudowy rolnictwa w zniszczonym przez wojnę kraju, pozwoliła byłemu ziemianinowi znaleźć poetyckie zastosowanie dla jego agronomicznych wiadomości i zamiłowań i — co ważniejsza — umieścić się w głównym nurcie epoki. „Georgicon libri" czyli „Rolnictwo" jest cegiełką poetycką, dorzuconą do dzieła odbudowy. Wartości artystycznej tego poematu nie zaszkodziła bynajmniej — jakby skłonni byli przypuszczać wyznawcy tzw. sztuki czystej — jego niewątpliwa tendencyjność. To szczytowe dzieło Wergilego zawdzięcza swe powstanie szczęśliwemu skrzyżowaniu zamówienia rządowego i rzeczywistej potrzeby społecznej: odbudowy chłopskiego stanu średniego; to, czego nie sposób powiedzieć o ostatnim jego dziele, „Eneidzie". Rzecz tę zamówił u poety sam August; celem uzasadnienia swych pretensyj do tronu zależało mu na wykazaniu w obszerniejszym poemacie łączności rodu Juliuszów, z którego pochodził, z mitycznym założycielem pierwszej kolonii na brzegach Tybru, Askaniuszem, synem Eneasza. Czysto prywatne źródło tej epopei, brak usprawiedliwienia społecznego sprowadziły tu wielkiego poetę do roli panegirysty. Olbrzymi kunszt poetycki nie zdołał uratować tego do dwunastu ksiąg rozszerzonego komplementu genealogicznego, jakim jest „Eneida", od chłodu właściwego wszelkim panegirykom. To też nie bez cienia słuszności wyraził się o niej Niebuhr, że jeśli ceni Wergilego, to nie za to, że ją napisał, lecz że w testamencie kazał ją spalić.

Polityka kulturalno-oświatowa wysuwała zresztą nie tylko zagadnienia treściowe; w równej mierze chodziło tu o sprawy techniki poetyckiej, o przekształcenie formalne. Przeżycia wojenne wywołały nawrót ku realizmowi. Ludzi, którzy widzieli rzezie, nie mógł zadowolić panujący dotychczas wszechwładnie styl neoteryków tj. modernistów, uprawiających kult małej formy, wykwintnej metafory, zabawkowej poezji salonowo-erotycznej, wzorowanej na Aleksandryjczykach z III wieku przed naszą erą. Odczuwano potrzebę wielkich form, żądano umiejętności tworzenia całości kompozycyjnych tj. nawrotu ku klasykom greckim z V wieku przed naszą erą. To, zresztą, co w piśmiennictwie wyrażało się jako poezja salonowa, w życiu przejawiło się jako zwykły dekadentyzm. Przedstawiciel złotej młodzieży rzymskiej, niestrudzony piewca wina i miłości, podtrzymujący zarówno w życiu, jak i w poezji tradycje modernistów, Owidiusz uchodził w reakcyjnych kołach stolicy za najbardziej utalentowanego poetę epoki; jego wdzięk, jego łatwy wykwint — za szczyt wyrafinowania kulturalnego. Ów sympatyczny wisus, którego dewizą wydają się włożone przezeń w usta Medei słowa: „video meliora proboque, deteriora sequor" (widzę, że trzeba inaczej, a postępuję po swojemu) — „zakochany tylko w swoim własnym talencie" — jak się wyraził o nim późniejszy krytyk Kwintylian — nie chciał i nie umiał wypełnić zadań, jakie stawiała epoka. Rozwiązanie ich przypadło w udziale dwu znacznie mniej w potocznym sensie słowa utalentowanym poetom: Wergiliuszowi i Horacemu.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

Rozdział IV.

Edmund Oxeński, żegnając się z Celią u jej bramy, nie był z nikim „umówiony". Ale wiedział, że o tej porze uda mu się zastać w domu Sonkę. Ostatnio trudno mu było z nią się odnaleźć, bo u Starszeńskich, gdzie teraz mieszkała, nie było telefonu.

Celia nie mogła wcale przewidzieć, że mówiąc Edmundowi o starym Wysokolskim, obudzi w nim chęć tak nieodpartą zobaczenia Sonki.

Ostatni raz widział ją nazajutrz po raucie, gdy na polecenie generałowej zakomunikował jej wiadomość o uwolnieniu Cyngala.

— Jesteś taki dobry, taki miły, — mówiła Sonka. — Ludzie tak ładni, jak ty, rzadko są dobrzy.

Edmund dziwił się, że to tak u niej wygląda. Nie był dobry, tylko ją kochał, tylko się nią, gdy byli razem, bezustanku zachwycał. Był taki szczęśliwy, mogąc ją podziwiać, że nawet nie dociekał, czemu nie chce być jego narzeczoną, czemu odwleka ślub. Godził się, żeby „nikt nie wiedział". Wystarczyło mu, że małżeństwo było dla niej stanem niegodnym człowieka.

Mimo to zachowywała się przecież jak narzeczona. Darzyła go takim uczuciem, że mógł jeszcze trochę czekać, mógł na to przystać. Jego gniewy i bunty były dość łagodne. Raczej utyskiwał i rozpaczał, jak dziecko.

Z Alei Ujazdowskich skręcił w ulicę Wilczą i jej ponurym wąwozem przeszedł w pobliże Marszałkowskiej. Tutaj obrała sobie mieszkanie Sonka na trzecim piętrze brudnych schodów, tutaj spała na wąskiej kanapie w „salonie" siostry.

Otworzyła mu sama, gdy zadzwonił. Zdawała się czekać, że przyjdzie właśnie teraz.

— Co się u was dzieje? — spytała. — Co powiedział ci ojciec?

Ojciec nic nie powiedział Edmundowi, a działo się u nich tymi dniami niedobrze.

— Jakto nic ci nie powiedział? To nie wiesz, że Cyngal wcale nie otrzymał zwolnienia?

Zamyśliła się na chwilę, tak była zdumiona. Bardziej zdumiona, niż oburzona obojętnością Oxeńskiego.

Siedziała teraz przy słabym świetle jakiejś pokątnej lampki na swej kanapie i spytała drgającym głosem:

— Więc nie jest chory?

— Nie, nie jest chory — odrzekł Edmund z wahaniem.

— W takim razie...

Sonka znów się namyślała.

— Kasia jest dla mnie zupełnie niezrozumiała. O co jej chodzi?

— Ja nigdy nie usiłowałem jej zrozumieć,— wyznał Edmund.

— No tak, wiem. I dziwię się, że możesz wytrzymać w tym domu. Prawda, że nigdy cię tam nie ma. Ale dla mnie to nie są żarty. Do dziś tego zwolnienia nie ma... A ona nie daje mi rozmawiać z Antonim, obiecuje sama to powiedzieć. I znów nie mówi...

Wstała i przez chwilę miotała się po pokoju, jakby chcąc coś przedsięwziąć. Wróciła jednak i usiadła bliżej Edmunda. Powiedział jej, że bierze to na siebie, że dopilnuje ojca, że mu przypomni.

— Bo widocznie zapomniał — dodał polubownie.

— Zapomniał! — zdumiała się znów Sonka. — Chyba tego nie myślisz. Ale po co mówił mamie, że go zwolni? Boję się, czy znów nie zmienił zdania.

— Poczekaj, jutro się to załatwi. Trzeba będzie ojcu powiedzieć z rana, zanim wyjdzie z domu.

— Daj spokój, przecież ty wcześniej wychodzisz, wtedy on jeszcze śpi.

— To prawda. I kiedy wracam śpi także.

— Widzisz. Ja wiem, że jesteś dobry i chciałbyś coś dla mnie zrobić, ale nie potrafisz. Będę znowu musiała sama tam pójść. Jesteś dobry — i zarazem jakby nic cię nie obchodziło. Nieraz myślę, że jesteś dobry z obojętności. Ale czy można tak żyć, jak przez sen?

Gładziła go po ręce, przepraszając tym gestem za swe słowa.

— Nie, nie wiem, mam widzisz sam te swoje ciężkie sprawy...

— Byłeś u matki — spytała półgłosem.

— Poszedłem, tak.

— I co?

Pomyślał, że mu współczuje, pomyślał o niej, że jest bliskim, drogim człowiekiem. Jakże tego właśnie pragnął, co jest najtrudniejsze, co jest rzadkie tak niezmiernie.

Przytulił czoło do jej ręki, opartej o poręcz. — Właśnie nie wiem, jak mam ci powiedzieć... Byłem wczoraj u nich w hotelu. Bo nie mają jeszcze mieszkania. Bristol, drugie piętro, apartament. W środku salon, na prawo pokój pani, na lewo pana. Co oni sobie myślą? Skąd mają na to pieniądze, nie rozumiem.

Przeszło mu rozczulenie, cały już przeniósł się na tamto miejsce i w ten nieprzyjemny czas. Nawet się od Sonki trochę odsunął.

— Nie myślałem, że jest tak wcześnie. Jeszcze nie wstała. Miałem po prostu coś do załatwienia w Prezydium, więc wracając wstąpiłem. Była przecież blisko dwunasta. Nie mogłem przewidzieć, że właśnie on wyjdzie do mnie z sypialni. Z jej sypialni. I proszę cię, w piżamie atłasowej, ponsowej, dość zresztą wygniecionej. Ten monstr, ta gruba żaba... Gdzieś to chyba czytałem: nos jak wielki palec u nogi. Ma taki nos, oczy wypukłe i do tego cienkie, kwaskowate usteczka. I przeprasza mnie, że ona jeszcze nie wstała. Mnie! Mówi: „żona jeszcze nie wstała", jak gdyby zupełnie zapomniał, że jest to przecież moja matka. Czy możesz to zrozumieć?

Najwidoczniej nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Chociaż patrzył na nią pytająco i milczał przez chwilę.

— Powiedziałem, — ciągnął już spokojniej — że to nic, że mógłbym tam wejść, o ile tylko mi pozwoli. A przecież pamiętałem, że nie życzyła sobie mnie widzieć. Bez jej zgody nie chciałem wejść, nie chciałem przeszkadzać. Ale on sam mnie wprowadził. Nie była sama. Siedział tam u niej w głębokim fotelu wygodnie ten jego młodszy brat, co u niego gospodarzy na folwarku. Chłop tęgi i mocny, w wysokich butach, w doskonałej wełnie, z wielkimi rękawicami wydętymi powietrzem obok na stoliku. Poważny, małomówny, ciężki. Ona leżała w łóżku, nie zamyślała wstać. Położyła się późno, miała migrenę. Leżała w prostej pościeli hotelowej, ale jej saut de lit to był poemat. I ręce miała pachnące.

Ponieważ Sonka milczała, mówił jeszcze o tym samym. — Naturalnie, nie mam do nich żadnej pretensji, o cóż mógłbym mieć pretensję? Że dotąd nie wiedzą, czy zostać w kraju, czy może gdzieś wyjechać? Że dotąd nie decydują się zamieszkać na wsi u brata. Mówią: „u brata". A jest wiadomo, że majątek kupił sam Chrudosz, a cały ten brat jest podstawiony. I tak posiedziałem sobie ze dwadzieścia minut w otoczeniu „rodziny", wśród „najbliższych". I odszedłem, nie wiedząc, czy kiedykolwiek wrócę. Po prostu trzeba o tym zapomnieć i już. Trzeba to sobie wyperswadować. Tylko, że wciąż jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, dlaczego wyszła właśnie za niego, dlaczego to jego wybrała... To zresztą jest ich sprawa, naturalnie. Czy nie myślisz, że jestem dziecinny?

— Ja nie wiem, Dziuniu, ale zdaje mi się, że nie powinieneś mówić o tym ze mną.

— Pewnie, że tak — przystał Edmund.

Sonka przez chwilę nasłuchiwała.

— Myślałam, że wracają. Ale to na drugim piętrze. Widzisz, twoje pretensje wynikają z tego, że ją kochasz. To jest zrozumiałe. Ale nie powinieneś mówić o tym ze mną, bo ja nie jestem życzliwa. Ja jej nie lubię, wiesz o tym.

— Przecież jej nie znasz.

— Tak, ale wiem, jaka jest.

Zamilkł, urażony i rozczarowany. Już znów przestała być najbliższym człowiekiem, przestała być delikatna i współczująca. Znowu żałował, że mówił. Gdy był daleko, myślenie o niej sprawiało mu wielką przyjemność, był nią tak przeniknięty, tak całkowicie napełniony, że nie uczuwał jej braku, że za nią nie tęsknił. Czy ją sobie inaczej wyobrażał, czy ją „idealizował"? Zawsze tak było, że jego głód tkliwości pozostawał nienasycony.

Sonka znów nasłuchiwała Na ten raz ciche szczęknięcie klucza, podnoszącego zamek, oznaczało powrót Tekli z dziećmi. Jej mąż, Tadeusz, powracał ze swych dziennikarskich zajęć dopiero nad ranem.

Siedzieli blisko siebie w milczeniu, słysząc w ciszy domu odgłosy krzątania się i macierzyńskich strofowań. Dziewczynki spierały się przez chwilę donośnie, później ucichło.

Poprzez ściany działała osobowość tej drobnej, nijakiej kobiety, żelaznym wysiłkiem i wolą utrzymującej całość domu. Dzieci bały się matki, słaby, niezaradny życiowo mąż całkowicie jej ulegał. Człowiek trudny do zauważenia, niczym nie zajmujący, nabierał niezwykłego znaczenia od śmiertelnej miłości i zawrotnej ambicji tej kobiety. Jakże błahy i nieważny wydawał się świat poprzez dogmat ich rodzinnej miłości. Tekla — przejęta, uroczysta i groźna, mówiła o mężu, jak o człowieku sławnym, jak o dygnitarzu czy dynaście. Jego przyduszone, przyziemne życie w jej interpretacji, wyolbrzymione jej strzelistym entuzjazmem, stawało się imponujące i niezwykłe.

Tekla nie umiała się śmiać. Śmiała się jednak mimo to, chociaż nieumiejętnie, śmiała się ironicznie, zaczepnie — nigdy z wesołości, nigdy z dowcipu. Wzruszała przy tym ramionami, parskała wzgardliwie, wysoko podnosiła brwi. Gdy szło o sprawy męża, od razu robiła się polemiczna, dygocąca z przejęcia, wspaniała, tylko czekająca na jakiś zarzut, na wyrażoną najmniejszą wątpliwość, by wybuchnąć piorunami swych najwyższych racji. Czuła, że jest jedyną gwarancją jego wartości, musiała za wszelką cenę temu sprostać. Było w jej postawie obronnej, w jej ciągłym „staniu na straży" tyle wytrwałości i napięcia, że się to wydawało niewiarogodne: że mogła to wytrzymać na stałe, że nie opadła z sił.

— Ale skądże, ale gdzież tam! — odpowiadała, zamiast powiedzieć: „nie".

A zamiast: „tak" mówiła:

— No chyba! Ależ naturalnie! Ależ samo się przez się rozumie!

Życie biegło jak na wyprężonej taśmie — ponad ubóstwem i poniżeniem, ponad próżnią. Najmniejsze zelżenie tego nacisku, jakieś rozproszenie skupionej uwagi, cień roztargnienia — i cała ta sztuczna struktura wartości i pychy zwaliłaby się w mgnieniu oka.

Dawszy dzieciom podwieczorek, Tekla weszła do salonu i zaraz zapaliła górne światło.

— Tak siedzicie, jak w piwnicy — powiedziała, witając się z Edmundem.

Wydawała się starsza od Kasi, starsza nawet od Agaty. Tak wielki wysiłek woli i entuzjazmu pożerał ją fizycznie.

— A wiecie, gdzieśmy były? — mówiła żywo. — Wybrałam się dziś wreszcie z dziewczynkami do Tadzia, do redakcji. Świetne ma tam warunki pracy, wielki gabinet, wygodne fotele. Skaczą wszyscy koło niego, jak koło ministra.

Pośmiała się trochę z tego, chlubnie zarazem i szyderczo. Zaraz jednak spoważniała.

— Ale! Nie uwierzycie! — ciągnęła z ironią, wzruszając ramionami i niby siłą wstrzymując się od parsknięcia śmiechem. — Wyobraźcie sobie, co dziś proponuje redaktor Tadeuszowi: żeby jechał w zastępstwie Nawlickiego ni mniej ni więcej, tylko do Berlina! Rozumiecie: do Berlina! Niesłychane! Jak wam się to podoba? Myśli widocznie, że go sobie tym ujmie, że go tym zobowiąże. A Tadzio nic. Mówi, że dobrze, że się zastanowi...

Tak nie przestając mówić, obeszła pokój, zapuściła rolety i wyszła, z daleka już wołając coś do dzieci.

Sonka była niespokojna.

— Znów ojcu nic nie powiesz, prawda Dziuniu? Ja już nie mogę tego tak zostawić.

— Chcesz tam pójść sama?

— Tak, powinnam.

— Doskonale. Razem pójdziemy.

Pożegnali Tecię i dziewczynki, ubrali się i wyszli na ciemną już ulicę.

— Zawsze już teraz widzę go w łóżku z owiązaną gałganem szyją. Dawniej jeszcze wstawał i chodził. Teraz wciąż leży w tym szpitalu więziennym, gdzie wszyscy mają gruźlicę.

Edmund prowadził ją pod rękę, jak niedawno Celię. I teraz jednak z jakichś względów czuł się winien.

— Nigdy nic nie chciał — ciągnęła półgłosem Sonka. — Chciał tylko tego jednego, żeby prędzej sądzili jego sprawę. Zamknęli go przecież, gdy miał siedemnaście lat. I ma taką dziecinną twarz, wie, że umiera. Mówi, że jest niewinny, jest o tym przekonany. Do końca był tam na wsi u swego ojca i pasł krowy. Nigdy nie przechodził przez granicę. Mówi to niechętnie, jakby nie miał nadziei. Ale wciąż przy tym obstaje, że jednak gdyby osądzili jego sprawę, byłby wolny. Gdy tam jestem, zawsze powtarza: „Ani nie przechodziłem przez granicę, ani nic nie zrobiłem. Jestem niewinny"...

Gdy przechodzili wpoprzek ulicy, zamilkła. Ale po chwili mówiła znowu:

— Nikomu się nie spieszy. Ale on czekać nie może, on czasu nie ma. Pewno myśli, że na wolności jeszcze by się mógł uratować. W tej samej sprawie siedzi prócz niego jeszcze kilkudziesięciu. I termin sprawy odkłada się podobno umyślnie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—27 „Odrodzenia".

O organizację kultury muzycznej

W ostatnich czasach pojawiają się uporczywe pogłoski o mającej jakoby nastąpić likwidacji Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wiele ludzi poważnych dyskutuje zarówno prywatnie, jak i publicznie — na łamach prasy — tę kwestię, głosząc, że Ministerstwo to w obecnych zmienionych warunkach społecznych i gospodarczych straciło rację bytu. Jan Kott w artykule „Podstawy polityki kulturalnej" („Odrodzenie" nr 27) twierdzi m. in., że ingerencje Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawach całej polityki kulturalnej powinny dziś przejść na artystyczne związki zawodowe i że tylko one powołane są do spełnienia tej roli.

Cała ta sprawa nie wydaje mi się tak prosta, a w ewentualnym zniesieniu Ministerstwa Kultury i Sztuki widziałabym duże niebezpieczeństwo, które nie wiem, czy dało by się tak łatwo naprawić na innej drodze. Z mojego punktu widzenia, który jest punktem widzenia muzyka, trudno stwierdzić, jak przedstawiają się te sprawy na innych odcinkach kulturalnych, na odcinku literatury i plastyki na przykład. Może tam wygląda sprawa nieco inaczej. Ale na terenie kultury muzycznej nie widzę możliwości pracy bez pomocy takiego aparatu administracyjnego, jakim jest ministerstwo, a projekt przeniesienia całego resortu kultury i sztuki do Ministerstwa Oświaty, przedstawia mi się jako przynoszący ze sobą cały szereg powikłań i komplikacji, prawie niemożliwych do usunięcia.

Dzisiejsze interesy oświaty i kultury muzycznej mieszczą się wprawdzie we wspólnym łożysku i często zazębiają się o siebie, ale nie dają się realizować tymi samymi środkami. I w tym leży sedno rzeczy. Dzieło muzyczne potrzebuje dla celów swej konkretyzacji aparatu wykonawczego, bardzo różnorodnego i skomplikowanego. Wszystko jedno zresztą, czy będzie to orkiestra symfoniczna, zespół kameralny, czy poszczególny solista — wszyscy oni potrzebują zawodowego wykształcenia, które muszą otrzymać w szkołach specjalnego typu, mianowicie w szkołach muzycznych. Przy dzisiejszym rozwoju techniki kompozytorskiej i wykonawczej wymagania tego wykształcenia zawodowego są o wiele większe, niż były przed 100 czy 50 laty, a przy tym zasięgu kultury muzycznej, jaki przewiduje dzisiejsza struktura społeczna, organizacja szkolnictwa zawodowego i jego rozplanowanie nabierają szczególnego znaczenia. Organizacja musi iść w głąb, zaś planowanie wszerz; pierwsza wymaga możliwie najwyższych kwalifikacji fachowych, drugie centralnego ośrodka, za którego pośrednictwem szkoły muzyczne najrozmaitszego typu, kształcące zarówno kompozytorów, dyrygentów i wykonawców, jak i kierowników chórów i orkiestr szkolnych, wojskowych i amatorskich, instruktorów świetlic, domów kultury itp.; zostałyby ujęte w pewną sieć w sposób praktyczny i celowy. Działalność Związku Zawodowego Muzyków nie może tu być wszystkim. Musi ona z natury rzeczy ograniczyć się do poparcia najwybitniejszych i najlepiej do tego przygotowanych jednostek na stanowiska kierownicze i najbardziej odpowiedzialne, ewentualnie do pewnych posunięć organizacyjnych lokalnej natury, ale zawsze działać mogą tylko w obrębie jakiejś określonej grupy, tego lub innego miasta, czy województwa, całości objąć nie mogą. Pozatem całe szkolnictwo muzyczne — podobnie jak każde inne — opiera się dziś na subwencjach państwowych (o ile nie jest w ogóle utrzymywane przez państwo). Gdy państwo daje na to pieniądze, musi mieć oczywiście prawo wglądu w to, jak społeczeństwo realizuje jego instrukcje. Moment ten nabiera specjalnej wagi zwłaszcza w dzisiejszej chwili, gdy państwo przeprowadza zasadniczą reformę szkolnictwa muzycznego, mającą właśnie na celu z jednej strony podniesienie fachowych kwalifikacji muzyka, z drugiej przygotowanie nowego odbiorcy, rekrutującego się z najszerszych warstw. Jakże wyobrazić sobie tę olbrzymią pracę bez pomocy ministerstwa? I jak wielki aparat, jako jakieś ciało zupełnie obce, organicznie z Ministerstwem Oświaty nie związane, musiałby powołany zostać do życia na jego terenie, aby sprostać tym zadaniom!

Problem szkolnictwa muzycznego nie jest oczywiście jedynym, który musi być rozwiązany centralnie. Tak samo centralnie musi zostać rozwiązany szereg innych spraw, np. sprawa orkiestr symfonicznych. I znowu Związek Zawodowy Muzyków może pomóc w celowym zorganizowaniu filharmonii na terenie tego czy innego miasta, ale ministerstwo musi rozstrzygnąć — mając na względzie całość naszego życia muzycznego — ile orkiestr symfonicznych ma w danej chwili powstać w Polsce z tego rezerwuaru muzyków wykonawczych, jaki stoi do rozporządzenia, jak tym rezerwuarem dysponować w sposób najbardziej umiejętny i oszczędny, w jaki sposób zorganizować symfoniczne orkiestry objazdowe, które zaspokajałyby potrzeby miast, nie posiadających stałej filharmonii itp. Podobnie ma się rzecz z operą, z wydawnictwami muzycznymi i podręcznikami, z radiem. Właśnie w tej chwili, gdy wszystko buduje się od podstaw, gdy stajemy po raz pierwszy przed zadaniem wyprowadzenia naszej kultury muzycznej na jak najszersze forum, w masy, gdy mamy wychować nowego słuchacza, centralizacja ta jest konieczna.

Pomijam już samo prestiżowe znaczenie takiego faktu, jak powołanie do życia osobnego Ministerstwa Kultury i Sztuki: dla każdego z nas miało to być widomym znakiem tego, że sprawom tym zamierza dzisiejsze państwo polskie poświęcić więcej miejsca, niż dotąd, że uznaje je za ważne i wysoce wartościowe. Ale spraw tych jest tak wiele i są tak różnorodne, że w jednym departamencie Ministerstwa Oświaty pomieścić się nie dadzą. Fakt, że dotychczasowe rezultaty pracy w naszym Ministerstwie Kultury i Sztuki nie zawsze były zadowalające, niczego nie dowodzi. Nie była tu winna sama koncepcja, ale aparat wykonawczy. Interesy kultury muzycznej stale były dotąd niedoceniane i traktowane drugoplanowo w porównaniu np. z literaturą, mimo, że ważności ich w nowopowstającej strukturze społecznej nikt chyba kwestionować nie może. Muzyka polska musi w przyszłości domagać się tego miejsca, które jej się należy. O sprawach muzyki rozstrzygać muszą sami muzycy i muszą je załatwiać centralnie i planowo. Domagano się już niejednokrotnie na łamach naszej prasy stworzenia centralnej rady do spraw literatury, wydawniczych i różnych innych. I słusznie. Bo tylko takie celowe i oszczędne operowanie materiałem fachowców — w tej chwili mniej licznych u nas, niż kiedykolwiek — może postawić te nader ważne problemy na należytej płaszczyźnie. Teraz z kolei i muzyka polska musi domagać się stworzenia Głównej Rady Muzycznej; w skład jej wchodziłaby przy Ministerstwie Kultury i Sztuki większa ilość najwybitniejszych muzyków z całej Polski, którzy ujęliby w swe ręce ster wszystkich spraw, związanych z kulturą muzyczną i gotowi byliby przyjąć za nie pełną odpowiedzialność. Takie postawienie sprawy rozwiąże może problem dzisiejszego „być albo nie być" dla samego ministerstwa: oznaczać ono będzie równocześnie i większą centralizację w ręku ludzi kwalifikowanych i przeniesienie odpowiedzialności z tych kilku osób, którym przypadkowo dostaje się władza w sprawach muzycznych w ministerstwie na dłuższy czy krótszy okres czasu, na przedstawicieli muzycznych całej Polski.

Stefania Łobaczewska

JERZY BROSZKIEWICZ

Listopad*)

We wszystkim zachowała się doskonała celowość, doskonała logika zdarzeń: w tym roku zabrakło nawet złotej jesieni. Listopad zamknął się nad miastem chmurami pełnymi dżdżu i brzęku samolotowych motorów, a ludzie z ghetta pojęli w końcu swój los głodu i kul. Październikowe wywózki i akcje zniszczyły rodzinę dokładnie, zaprzestano nawet w ostatecznej, jesiennej rezygnacji gorzkiej arytmetyki doliczania się wywiezionych i zabitych — były to już cyfry statystyk a nie wspomnienia.

W pierwszych dniach listopada Willhaus wydał jedno z ostatnich w tym ghetcie rozporządzeń — od domu do domu szli esesowcy i granatowa policja przybijając na skrzydłach bram prostokątne deski z numerami. Pod wieczór ludzie wracający z pracy patrzyli nieufnie, ze strachem, na cyfry kreślące czernią biało lakierowane deski. Nie wiedzieli jeszcze co to ma oznaczać, ale, kierując się doświadczeniem, nie umieli odczuwać wobec odmiany innych uczuć niż właśnie strachu, a co najmniej nieufności. Zresztą nie czekano długo na odpowiedź: nazajutrz rano mokły w deszczu afisze, nakazujące powrót do domów numerowanych tak a tak — podług zawodów. To wszystko.

Właściwie była w tym ulga — spodziewano się czegoś gorszego. I przeczytawszy uważnie afisze szli swą trasą codzienną.

W listopadzie o siódmej rano jest jeszcze mroczno, i w tym niepewnym świetle pochód idących nieodmienną drogą ludzi przypominał wiejskie, dalekie pielgrzymki do cudownych obrazów. Brakło niewielu rzeczy: śpiewu, chorągwi, chłopców w komżach i pejzażu wiejskiej drogi. Pozostały za to sylwetki ciężko dążące ku upartemu celowi — pochylone daleką drogą, niewyraźne wśród mgły.

Z chwilą gdy domy pustoszały, rzadko kto przerywał ciszę bocznych uliczek, sadowiła się z uporem wśród pustych murów aż do wieczora: do chwili powrotu tamtych. Główne ulice (było ich dwie), ku którym spływały krokami wędrowców bocznice, nie poddawały się martwocie — auta i tramwaje wprawiały w drżenie mury stojących przy nich kamienic. W tramwajach siedzieli i stali ludzie inni niż ci, pielgrzymujący co świt do pracy, ludzie drugiego brzegu. Zdarzało się i to, że między kimś z tramwaju a którymś z ulicy wymieniono uśmiech lub ukłon — czasem buchnęły stamtąd drwina lub złość, obojętnie przemilczane. Tak. Czy można się zresztą dziwić nieśmiałości ukłonów, uśmiechów, czy owemu zaciekawieniu i obcości, czy nawet ironii zbywanej obojętną ciszą? Granica była zbyt oczywista — a prawdą jest (z tych najsmutniejszych) to, że parias — choćby nim był dopiero w pierwszym pokoleniu — łatwiej trafia na pogardę niż na litość. Dystans warunkowany groźbą śmierci ustalał się — dzięki jego rozpiętości uczucia i współczucia zdawały się gubić i ghetto będąc ciągle jeszcze częścią miasta wydzielało się z niego, oddalało, dzięki swemu nieszczęściu coraz bardziej obce i nie do pojęcia.

Jego mieszkańców spotykali ludzie drugiego brzegu już tylko o dwu godzinach dnia i to prawie nigdy jako jednostki lecz jako grupy ludzi skulonych z chłodu i zmęczenia na platformach aut — byli chyba rzeczywiście przedstawicielami innego gatunku.

Jesień w listopadzie ma już dzień krótki i chmurny: świt późny i wczesny zmierzch nie pozwalały widzieć na autach skulonych sylwetek. A tym łatwiej znikały one z pamięci, że i po prawdzie było ich coraz mniej. Młyn szedł pełną parą — ginęli łatwo, często bez okrzyku, pogodzeni z losem rozmiarami swej nędzy.

Grossmeier, który dotychczas uchował się na dawnym pogotowiu, teraz uznał, że jedynym wyjściem z sytuacji staje się już tylko szpital, przez niedopatrzenie czy ironię Willhausa pozostawiony poza obrębem ghetta. Grossmeier zdecydował się po swojemu — następnego dnia po rozmowie z kierownikiem szpitala objął oddział zakaźny, dwie niewielkie, w miarę niepokaźne, w miarę brudne salki.

Zmiana ta, po pewnym czasie pomogła mu nieco w odbudowaniu wewnętrznej równowagi, spokoju, który od śmierci Berga był coraz trudniejszy do osiągnięcia. Dwunastogodzinna praca, kontakt z nowymi ludźmi i nowy klimat, tak odmienny od oleistej ciszy ul. Klonów — wszystko to nie mogąc oczywista być powodem do optymizmu dawało jednak pewien wypoczynek — walka z fizycznym cierpieniem chorych kazała zapominać o sobie, dyrektor szpitala dr Beck nazywał ją z powagą „drogocennym narkotykiem." A Grossmeier — choć uśmiechał się niby niepewnie — przyznał mu w końcu rację. Przyszło to tym łatwiej, że Beck był człowiekiem o swoistym wdzięku. Dzięki jego humorowi i zaradności, dzięki rozwadze z jaką obdzielał łapówkami Niemców i łatwym żartom, których chciwie słuchali chorzy, nastrój szpitala był jaśniejszy niż można by sądzić. Oczywista, że nie dało się mówić o czymś w rodzaju pogody umysłów i ich spokojnej aurze, ale w każdym razie — może przez to, że śmierć była ludziom szpitala bliska bardzo, czy to przez chorobę czy też przez fach — zapominano w dzień o kulach z ołowiu. A noce gorączki i bólu też nie dawały o nich pamiętać. Dyrektor Beck (i tu chyba należy szukać najistotniejszej przyczyny owych zapomnień) nie uznawał rozmów o wojnie, akcjach i karabinowej śmierci — więcej — wybuchał gniewem, krzykiem nawet przy aluzjach do dziejących się spraw. Od razu pierwszego dnia wyjaśnił to Grossmeierowi z mile obojętnym uśmiechem.

— Kolega rozumie. To jest tylko lojalność choroby politycznej w stosunku do chorób organizmu.

Grossmeier przytakiwał mu ze zrozumieniem.

— Oni zresztą — machnął ręką — i tak...

— Dobrze, dobrze. Ale niech kolega nie kończy zdania, — przeciął rozmowę Beck kategorycznym ruchem podniesionej dłoni.

Grossmeier zgodliwie pokiwał głową.

Beck (a rozmawiali na sali zakaźnej) przechodząc koło łóżek pochylał się rubasznie nad chorymi. Przy zdyszanej dziewczynie o skórze gładko opiętej na kościach policzkowych i zniszczonej tyfusową gorączką przystanął na dłuższą chwilę. Odchodząc rzucił jeszcze przez ramię:

— Z dnia na dzień ładniejsza.

Grossmeier potrafił ocenić sens wdzięczności w spojrzeniu dziewczyny — tym bardziej, że obawiał się bardzo czy jej serce potrafi zwyciężyć jeszcze tydzień gorączki. Ale trudno było roztkliwiać się tym faktem: obawa ta tyczyła się przecież wszystkich, podległych mu, pacjentów. Badając ich, wyszukując słuchawką uderzeń serca przymykał powieki: u każdego tony serca były pozbawione rytmu, głuche, niekiedy zastraszająco słabe. A mimo zapobiegliwości Becka i administratora szpitala, sprytnego laryngologa Erlicha, kamfory i kofeiny było tak mało, że używano ich tylko w wypadkach ostatecznych. W chwilach gdy istniała **tylko nadzieja** ratunku, nie można było stosować polityki przedłużania życia o jedną czy dwie doby — zastrzyki otrzymywali tylko ci, którym mogły one dać **względną pewność** powrotu do zdrowia. A tych było tak niewielu. Zresztą ta metoda — doszedł do przekonania Grossmeier — też nie miała sensu: człowiek zdrowy (to znaczy ten, którego odebrano chorobie) **musiał** — a teraz już, w listopadzie, wiedziano o tym aż za dobrze — musiał wypełnić inną formę śmierci po tak niedługim czasie, że i owe, kamfora czy kofeina, szły na marne. Jedynym chyba wytłumaczeniem tego postępowania był wpływ Becka — cicha umowa ignorowania wątków dziejących się poza szpitalem.

Tak postępował cały zresztą personel — dzięki Beckowi żyto sobie z dnia na dzień i obojętnie. Składało się na to wszystko: i praca, „drogocenny narkotyk", i rzeczywisty brak kontaktu z tamtymi wydarzeniami i charakter ludzi, z którymi się stykało. Na oddziale chirurgicznym wiedziano coś nie coś o obozie, czy innych podobnych sprawach — bo mimo, że Beck mówiąc o jakimś nowym wypadku nigdy nie mówił „pobity" tylko „obrażenia", to jednak każdy rozumiał o co chodzi. Natomiast sale zakaźne były spokojne i ciche — tyfus we wszystkich odmianach jest zakonem kontemplacyjnym — rzadko kto przerywał milczenie, co najwyżej pacjenci skarżyli się jękliwie odpowiadając na pytania lekarza. Poza tym koledzy Grossmeiera posiedli już pewną rutynę w tym odosobnieniu, Beck, inspirator systemu i Erlich jego adiutant propagowali swobodny humor i gadatliwą jowialność, chirurg Rotstein poza godzinami pracy znikał w swym pokoju i w ogóle nie istniał dla ludzi (plotkowano, że zajmuje się w samotności jednocentymetrową strzykawką i roztworem morfiny), a młody internista Lipner rzadko dobierał sobie innych towarzyszy niż młodsze pielęgniarki lub flaszkę wódki. Należy mu oddać sprawiedliwość, że chociaż nie odznaczał się zbytnią powściągliwością, jednak zachowywał się dyskretnie — miał tylko błyszczące oczy i pachniał alkoholem. Właściwy nastrój wytwarzali więc Beck i Erlich — wprawdzie Grossmeier podejrzewał ich o pewne zakłamanie, ale był to tylko domysł — mimo uważnej obserwacji nie mógł go poprzeć żadnym konkretnym faktem — obaj nie pozbywali się uśmiechu: wysoki, godny Beck, o słowiańskim, fantazyjnym wąsie, i chudy, wątły Erlich. Miło było usiąść wraz z nimi przy kolacji, słuchać żartów i opowiadań z czasów beztroskiego pokoju. Tym bardziej, że Erlich był świetnym narratorem, człowiekiem niebylejakiej inteligencji; często chichotali cicho do sensu pieprznym historyjkom, których bohaterkami (czasem nie można było przeoczyć owej myśli) były kobiety znane ze swej urody i czaru, tylko że wykreślone już którymś tam rozkazem Willhausa z katalogu żyjących. Zresztą Erlich używał zawsze i tak konsekwentnie czasu przeszłego, że owa świadomość była raczej wyjątkiem niż reguła. Raz tylko nastąpiło małe nieporozumienie; Grossmeier dzięki jakiejś asocjacji wspomniał o Lenie i Steinie wyjaśniając nawiasem:

— A teraz żyją na Podkarpaciu, na fałszywych papierach...

Protest tamtych dwu był bardzo spokojny. Beck z nagle zobojętniałą miną przypomniał sobie o jednym z chorych a Erlich po prostu nie dosłyszał. Zapewne właśnie ta dyskrecja zmieszała Grossmeiera do tego stopnia, że natychmiast umilkł ratując się papierosem. Było to w czas kolacji i potem Erlich odprowadził go na salę, bo Grossmeier szedł jeszcze odwiedzić kilku mijających się z życiem pacjentów. Tuż przed drzwiami laryngolog przystanął:

— Bo proszę kolegi — przemówił cicho i łagodnie — właściwie wiemy wszyscy. Ale po co przypominać? Przede wszystkim spokój. Inaczej to wszystko byłoby za trudne. To znaczy inaczej, niż Beck i ja robimy.

Uśmiechnął się ze zwykłą pogodą:

— Teraz już jest za późno na wewnętrzny czy zewnętrzny opór i nasza metoda jest, uważam, jedyną drogą, jedyną pomocą chorym. Bez posłannictwa medycyny, kolego. Drogą faktu...

Właściwie nie było co odpowiadać. Grossmeier milcząc potakiwał ruchem głowy. I nic dziwnego, że od tego czasu starannie wystrzegał się podobnych dygresji, a co za tym idzie poddał się obojętności bez oporu i zastrzeżeń. Rozgrzeszał się między innymi i spokojem innych: chirurga, Lipnera, kilku pielęgniarek i rzadko widywanego posługacza, anemicznego chłopca o bladozielonej cerze; w aurze dogasającej jesieni uległ szpitalnej ciszy, polubił szpitalne noce.

Zwykle koło jedenastej, a czasem nawet później, przychodził na swój oddział i siadając na krześle przy drzwiach, odprawiał dyżurującą pielęgniarkę. Aby nie usnąć, opierał głowę o nierówny kant framugi i spod wpółprzymkniętych powiek patrzył na łóżka ukryte wśród cieni. Zwyczajem Becka zagadywał chorych, zaś dziewczynie, w której jeszcze się kołatało młode życie, mówił sprytne komplementy. Że niby to z nocy na noc:

— Coraz ładniejsza.

Wprowadził nawet pewną inowację. Mimo, że na jednej sali leżały kobiety i mężczyźni (bo któż mógł pamiętać o przedwojennych przeżytkach wstydu czy, jak tam mawiano, moralności) rzucał czasem tłuste historyjki i z mglistą przyjemnością, z filantropijnym zadowoleniem słuchał chytrych śmiechów z łóżek pacjentów skazanych na cmentarz. Dziewczyna nie śmiała się — na jej śmierć trzeba było czekać już tylko dzień, może dwa. I, jak przewidywał, umarła 14-go listopada, rano: po prostu serce nie wytrzymało gorączki. Erlich zapisał w aktach: zejście 14-go listopada 1942 „typhus exanthematicus". Od tego czasu już nawet nie było komu mówić komplementów.

Z dojrzewającą do kresu jesienią szpital zamknął się w rutynie, poddał się rytuałowi Becka i wietrznej, deszczowej ciszy listopadowych dni. Chorzy z zakaźnego milczeli — rzadko który jęczał, co najwyżej przechodząc w nocy przez sale słyszało się zbyt głośne oddechy gorączkujących. Grossmeier w swej bezradności unikał nawet rozmów o chorobie — przecież chorzy i tak umierali na własną rękę, na własne — jak kto woli — konto.

Ale pewnego dnia zdarzył się fakt, który obudził szpital z jesiennego snu i listopadowej ciszy.

Było to tuż przed kolacją i w gabinecie Becka wybuchła nagle głośna awantura — Grossmeier, który przechodził właśnie korytarzem, przystanął zdumiony; w wysokim falsecie trudno było nawet poznać głos dyrektora. Mimo zamkniętych drzwi słyszał wyraźnie pełne złości zdania:

— To ja pana tu nie potrzebuję. Jedź pan, niech doktór jedzie do cholery. Nie będę zatrzymywał.

Drzwi się otwarły szeroko i wyszedł z nich niepewnie uśmiechnięty Lipner — miał minę wyłajanego pinczera. Widocznie twarz Grossmeiera była tak zdziwiona, że Lipner poczuł się w obowiązku do wyjaśnienia przyczyn tej niezwykłej sceny. Wzruszając ramionami na widok kilku głów, które ukazały się z bocznych drzwi i po chwili znikły, ujął Grossmeiera pod ramię:

— Niemiła historia, kolego — oddech jego jak zwykle zalatywał wódką — a swoją drogą Beck zachowuje się jak niebezpieczny furiat. Tak, tak. Jak nieodpowiedzialny całkiem człowiek.

Grossmeier przechylił głowę z zaciekawieniem:

— O co wam...?

Lipner strzepnął palcami:

— Zdecydowałem się wyjechać i chciałem postąpić lojalnie: wyjaśnić przyczyny; ale Beck od razu...

— Ach tak.

Weszli do pokoju Lipnera, w którym sypiał także mrukliwy chirurg. Była to maleńka izdebka i dwa żelazne łóżka zostawiały tylko trochę miejsca na mały stolik: przypominała separatkę prowincjonalnych szpitali albo pokazowe więzienie. Lipner zatarł dłonie z suchym szelestem:

— Zimno, co? listopad...

I pominąwszy uprzejmie skinięcie Grossmeiera od razu przystąpił do rzeczy. Mówił szybko, z widocznym zdenerwowaniem:

— Wyobraźcie sobie kolego, dostałem wiadomości z prowincji, — przetarł ręką czoło — powiadam wam...

Wytrzymał chwilę milczenia. Potem powiedział po prostu:

— Tam likwidują ghetta.

W tej chwili wszedł chirurg i obojętnie skinął głową Grossmeierowi. Ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza mruknął:

— Mów pan dalej.

Lipner miał takie spojrzenie, jakby słuchał własnych słów czy własnych myśli po raz pierwszy.

— Zaczęło się od strzelaniny po domach. Ale tu nie koniec. Dzieci przez parapet okienny albo głową o ścianę. Kobiety przez okno, starcy przez okno, przez parapet. To, proszę kolegi — wyobraźcie sobie...

Chirurg, który początkowo rozłożył się wygodnie na swoim łóżku i przymknął oczy, teraz podniósł powieki. Lipner uchwyciwszy jego spojrzenie wyjaśnił:

— Przyjechał mój kuzyn z prowincji. I to proszę kolegów nie panikarz. Ale płakał łzami, kolego, rzewnymi.

Grossmeier zacisnął dłonie.

— Nie mogę uwierzyć — wstał — nie podobna uwierzyć.

Lipner wzruszył ramionami:

— Tym gorzej dla was.

Chirurg siedział już wyprostowany i w oczach miał to samo napięcie co Grossmeier. Lipner dostał rumieńców:

— I wiecie co? zaczęli się bronić. Jak to tam czasem umieją strzelać i dobierać się do skóry. Niemcy myśleli: skóra na nieżywym niedźwiedziu. A tu niespodzianka...

Chirurg zwilżył wargi pytając:

— Czy to rzeczywiście prawda?

Lipner skinął głową:

— Ręczę. Zresztą dowiecie się skądinąd. Te rzeczy nie dadzą się ukryć, to przecież...

Grossmeier przerwał mu:

— Więc pan wyjeżdża?

— Tak.

— Na papiery oczywiście.

— Jakżeby inaczej.

Umilkli. Chirurg kilka razy coś chrząknął, jakby chciał zabrać głos, ale cofał się, przełykając tylko głośno ślinę. Na szybach deszcz mieciony północnym wiatrem bębnił w upartym rytmie. Grossmeier mechanicznie zapalił papierosa, w świetle słabej żarówki dym opadał ku ziemi. W końcu chirurg skinął głową:

— Źle, bardzo źle...

Grossmeier wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem:

— Wiem to już od dwu lat.

— No tak, tak...

Grossmeier ociężale powstał. Z niechęcią spojrzał na chirurga, który po chłopsku podparł brodę pięściami, złożywszy usta do gwizdania — tylko że nie można się było poza głośnym szelestem oddechu dosłuchać żadnej melodii. „Też sposób myślenia" — pomyślał. Podał im rękę:

— Dobranoc kolegom..

Tego wieczoru nie jadł kolacji jak zwykle z Beckiem i Erlichem. Dyrektor nie pokazał się w ogóle, sądząc widocznie, że stać go na to, a Erlich miał nocny dyżur. Siedział więc sam przy stole i mimo głodu chleb rósł mu w ustach, był nie do przełknięcia; czekał na te wieści zbyt długo i zbyt dobrze wiedział o tym, że nadejść w końcu muszą, że teraz samotność była bardzo ciężka: postanowił pójść do swoich chorych. Jak zwykle usiadł na stołku przy drzwiach i zmęczonym ruchem wyciągnął nogi przed siebie. Sala była w półmroku, tylko jedna słaba żarówka tliła się mętnie u sufitu, z kątów rozrastały się konturami łóżek cienie. Słuchał szybkich oddechów i sennych postękiwań, leniwie oparłszy głowę o framugę drzwi. Ktoś na jednym z dalszych łóżek jęczał cicho, zapewne przez sen — Grossmeier przymknął powieki.

Wracając do siebie natknął się w korytarzu na Erlicha. Tamten zaczepił go zwykłym sobie uśmiechem, ale spojrzenie miał badawcze. I w pewnym momencie przerwał wesołe zdanie marszcząc troską czoło:

— Mówił kolega z Lipnerem?

Grossmeier podniósł brwi złośliwie:

— Myślałem, że to was nie obchodzi.

Erlich był trochę zmieszany. Trzymając ręką klapę lekarskiego płaszcza Grossmeiera, tłumaczył się:

— Pozory mylą, kolego. Ja rozumiem waszą ironię, ale odpowiedzialność i konsekwencje ponosi kto inny — uśmiechnął się niepewnie — Rotstein wspominał mi coś po swojemu, ale nie wiem właściwie, nie rozumiem o co chodzi. I o co poszło, — dodał.

Grossmeier nie przestawał się drwiąco dziwić:

— Wiecie kolego, niezbyt dobrze wiem i rozumiem o co **wam** chodzi?

Ale nie chcąc doprowadzać do wybuchu gniewu, który już się rozjarzał w mysich tęczówkach Erlicha, opowiedział wszystko. Rzecz prosta nie ominął żadnego szczegółu. Erlich słuchał krzywiąc twarz w zawiłe cyfry zmarszczek, puścił klapę płaszcza Grossmeiera i wsadził dłonie w kieszenie. Kiwał głową:

— Niedobrze. Co będzie? — rzucił skośne spojrzenie — Koniec?

Grossmeier przestał drwić. Powiedział:

— Tak.

Korytarz, jak to w nocy, był ciemny — i krył się w gęstych cieniach. Słychać było dobrze wiatr nad dachem z listopadowym deszczem i Erlich wzdrygnął się w nagłym dreszczu. Obaj mieli troskę w oczach. I z tą samą troską podali sobie dłonie na „dobry sen".

Sierpień 1943.

*) Fragment powieści.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Społeczny program życia literackiego

Wielorakie przyczyny społeczno-ustrojowe wskazują nieuniknioną konieczność poważnych przemian w formach naszego życia literackiego. Przemiany te wynikają z kształtującego się stanu społeczeństwa w nowych warunkach demokratycznego świata pracy. Powstać i rozwinąć się musi inny obyczaj, odmienny od dotychczasowego obyczaju mieszczańskiego, w którym nadal tkwimy, nie zdając, albo nie chcąc zdać sobie sprawy z nieodpartych wymagań dzisiejszej rzeczywistości. Im prędzej należycie uświadomimy sobie potrzebę stworzenia stylu nowej epoki, w którą dopiero wchodzimy, tym skuteczniejsze będzie nasze współdziałanie ze społeczeństwem i tym mocniejsze nasze własne stanowisko społeczne.

Było to dotkliwą wadą naszej literatury w minionej dobie międzywojennej, że się należycie nie łączyła ze środowiskiem społecznym. Brakowało jej zażyłej styczności z krajem. „Ferdydurke" Gombrowicza w swej groteskowej drwinie z czytelnika była objawem niezamierzonej satyry na jakieś wznowione saskie ostatki, podczas gdy „Sklepy cynamonowe" Schulza stwierdzały szczytowe przesilenie literackiego psychologizmu. Wynik to kawiarniano-mieszczańskiego ściśnienia atmosfery ówczesnego życia literackiego, z którego wyłomem zdrowym i naturalnym były, artystycznie niestety słabsze, wysiłki grupy „Przedmieście", oraz nieco późniejsze powieści reportażowe Boguszewskiej i Kornackiego. Wskazana przez nich droga powinna być teraz planowo podjęta i doniosłym zadaniem programowym Związku Zawodowego Literatów Polskich mogłaby się stać szeroko pomyślana akcja organizowania zespołów literackich, objeżdżających ze starannie i celowo opracowanym programem odczytowo-recytacyjnym poszczególne dzielnice kraju.

Prowincja łaknie takiej inicjatywy, która wszędzie byłaby przyjmowana ze szczerym entuzjazmem, byle tylko pójść tam z dobrze przygotowanym i odpowiednio urozmaiconym materiałem literackim. Zetknięcie się zaś z terenem, zwłaszcza gdy się dotrze nie tylko do większych miast, lecz także do mniejszych ośrodków prowincjonalnych, rozmowy z ludźmi, zebrane z kraju wrażenia — przyniosłyby literatom odświeżające dla ich pracy tworzywo. Taka akcja objazdowa zasilałaby nadto kieszenie i żołądki naszych pisarzy w swej większości przeważnie jeszcze głodujących, wobec zwłaszcza grubo niedostatecznej możności wypowiadania się słowem drukowanym. Posługiwanie się zaś słowem żywym ma też swój dobroczynny wpływ na uspołecznienie literackiego stylu.

Przy uprzednim porozumieniu się z miejscowymi czynnikami, do czego obowiązane pomóc przede wszystkim wojewódzkie wydziały kultury i sztuki wraz ze swą siecią referentów powiatowych, byle tylko zespół objazdowy dobrać właściwie, o co znowu postarałyby się zarządy oddziałów Związku, wyniki akcji byłyby niewątpliwie dodatnie. Trudnościami, zwłaszcza komunikacyjnymi, zrażać się ani zasłaniać nie należy, bo właśnie te trudności, obok niezaspokojonego dotąd głodu nowej książki, w znacznej mierze sprzyjają powodzeniu takiej akcji żywego słowa literackiego. Licząc się tylko z rozmaitymi możliwościami przejazdu, zespoły nie powinny być zbyt liczne, lecz ograniczać się do trzech, najwyżej czterech ludzi. Biorąc zaś pod uwagę tu lub ówdzie, zwłaszcza na ziemiach zachodnich, deficytowy wynik kasowy, Związek musiałby zapewnić swym zespołom odpowiednie minimum słusznego wynagrodzenia, na taki zaś cel uzyskałby z pewnością potrzebną subwencję z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie wystarczy bowiem sarkać na takie lub inne niedociągnięcia czynników rządowych, które nie zawsze bywają winne, jak to się patrzącemu na ich działalność z zewnątrz obserwatorowi wydaje. Trzeba wystąpić z inicjatywą we własnym zawodowym środowisku, tym bardziej, że w danym wypadku Związek Zawodowy Literatów Polskich jest społecznie powołaną i przez władze rządowe uznaną właściwą instytucją organizacyjną.

Poszczególne oddziały Związku, w miarę swego stanu członków, uruchomić mogą naraz więcej takich zespołów objazdowych, które później zależnie od uzyskanego powodzenia i od sprawdzonych warunków terenowych — będą się wymieniały. Np. oddział krakowski Związku, jako najliczniej i najmocniej obsadzony, swobodnie powinien zorganizować jednocześnie siedem zespołów objazdowych, które działalnością swą objęłyby: 1. woj. krakowskie, 2. woj. śląsko-dąbrowieckie, 3. woj. rzeszowskie, 4. woj. kieleckie, 5. woj. pomorskie, 6. woj. gdańskie i olsztyńskie, 7. woj. poznańskie. Plan taki, oprócz mniejszych środowisk prowincjonalnych, brałby w rachubę przede wszystkim większe miasta, jak Tarnów, Zakopane, Rzeszów, Przemyśl, Jarosław, Jasło, Katowice, Sosnowiec, Opole, Wrocław, Kielce, Radom, Częstochowa, Sandomierz, Toruń, Bydgoszcz, Gdańsk, Gdynia, Olsztyn, Poznań, Inowrocław, Kalisz itd. W miarę warunków, zależnie od uznania kierownika zespołu, do akcji pożądane być może dobieranie miejscowych literatów, o ile się gdzieś znajdą. Podobnie pozostałe oddziały Związku obejmować będą akcją również inne tereny kraju, choćby nawet wzajemnie z sobą na nich rywalizując. Przede wszystkim wszakże uwzględniać się powinno pobliskie ziemie, więc np. oddział warszawski — województwo białostockie itp.

Na podstawie osiągniętych wyników i przedłożonych sprawozdań oddziałowych zarząd główny Związku mógłby przyznawać dodatkowo nagrody lepiej zasłużonym zespołom. Rzeczą Związku zresztą będzie przedyskutować ramowo tu przedstawiony projekt i opracować go w szczegółach. Byle tylko nie zwlekać, bo chwila dla takiej akcji jest wyjątkowo odpowiednia. Jej zaś dwojakie znaczenie społeczne, wobec czytelnika-słuchacza tudzież wobec samego pisarza, jest chyba bezsporne.

Organizacyjnie łatwiejsze, lecz pod względem doboru programu trudniejsze zadania przedstawiają inne projekty uspołecznienia życia literackiego, nie mniej jednak pilne i wymagające bacznego starania. Mam tu na myśli zwłaszcza cztery zadania.

Pierwszym z nich byłyby wycieczki odczytowe pojedynczych pisarzy na wieś, do świetlic i domów ludowych. Tu już wypadnie dobierać odpowiednio do tego chętnych i uzdolnionych ludzi, którzy znaleźć się powinni. Akcję zaś prowadzić w porozumieniu z ośrodkami krzewienia kultury, uwzględniając w niej nie tylko program artystyczny, lecz również i może przede wszystkim odczyty na celowe przemyślane tematy z zakresu literatury. Drugie zadanie, z pierwszym bezpośrednio związane — to udział pisarzy w uniwersytetach ludowych, które wymieniając, mam na myśli zakłady tego rodzaju, jakie przed wojną z takim powodzeniem a własnym tylko ofiarnym wysiłkiem prowadzili Solarzowie w Szycach i w Gaci.

Trzecie zadanie, znowu stawiające odrębne zagadnienia co do wyboru prelegentów i tematów, to odczyty połączone z dyskusjami w robotniczych związkach zawodowych i ośrodkach fabrycznych. Tu przede wszystkim łódzki oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich znalazłby dla siebie właściwe pole działania.

Czwartym wreszcie zadaniem jest inicjatywa i udział literatów w organizowaniu widowni teatralnej. Nasze teatry w obecnej swej postaci, opartej na wzorach i tradycjach przedwojennych, dalekie są jeszcze od spełniania tych swoich społecznych celów, do których są powołane. Aby wyjść z impasu, muszą sobie zorganizować nową demokratyczną widownię. Próby takie, czynione przed wojną głównie wobec młodzieży szkolnej, dały doskonałe wyniki. Obecnie, obok młodzieży szkolnej, szczególny nacisk położyć by należało na współpracę robotniczych związków zawodowych, jako na tym środowisku społecznym, gdzie taka inicjatywa znajdzie najkorzystniejsze pole działania. Przed przedstawieniem przeznaczonym dla danego związku robotniczego, na jego terenie wygłoszony odczyt o granej sztuce, po przedstawieniu dalszy ciąg w postaci dyskusji z robotnikami nad widzianą przez nich sztuką — oto znowu wdzięczne zadanie dla literata, wyznaczonego w tym celu przez jego związek zawodowy, działający w porozumieniu z dyrekcją teatru i z zarządem właściwego związku robotniczego.

Oto drogi, które zapewne dadzą się jeszcze rozszerzyć i pomnożyć, i na których przyszłoby do nawiązania bezpośredniej styczności ze środowiskiem społecznym także od strony twórczej. Oto ściśle określone zadania, których podjęcia i wykonania oczekuje demokratyczna Polska od uspołecznionej literatury, od Związku Zawodowego Literatów Polskich i od jego członków. Jakże wdzięczne pole pracy dla ambicyj społecznych tych pisarzy i krytyków, którzy tymczasem marnotrawią swe siły na felietonowe łatwizny jednodniowych dowcipów. Zamiast jako jętka opalać skrzydła literatury przy kawiarnianym ogarku jałowych sporów i swarów, czyż nie przyjemniej i korzystniej stać się pszczołą pod dobroczynnym światłem słońca z barwnego kwiecia rozległych pól zbierającą życiodajny miód, by go znosić do społecznego ula twórczej pracy. Ul ten stoi otworem. Byle tylko udać się do niego z prawdziwym, nie podrabianym miodem.

MARIA JAROCHOWSKA

Żywa książka

Otaczająca nas codzienność okupacyjna była podobna do jakiegoś potwornego akwarium, w którym ślepi i niemi ludzie pożerają się nawzajem, a obraz ten im dłużej trwał, tym wyraźniej nabierał cech koszmarnego snu, złudzenia, nieprawdziwej okropności. W końcu jedynym realnym światem wydawał się ten świat poza ścianami akwarium, świat, o którym mówiły nam już tylko książki. Tam ludzie odnajdywali jakieś strzępy swego dawnego życia, jakieś cząstki siebie i wydawało się, że tylko te fragmenty miały swój realny i prawdziwy byt w przeciwieństwie do złego snu okupacyjnej rzeczywistości. W tym pomieszaniu odczuć, co jest prawdą, a co złudzeniem, co obłędem, a co istnieniem namacalnym — książki były pewnym sprawdzianem, że jeszcze nie oszaleliśmy, że gdzieś poza ścianami akwarium istnieje jakiś normalny świat, do którego kiedyś należeliśmy.

Wielu ludzi pragnąc uciec najdalej od Niemców i okupacji, sięgało do literatury starej i starszej. Zdumiewali się początkowo właściciele wypożyczalń, gdy na życzenie abonentów musieli wyciągać z magazynów, leżące dotąd odłogiem, lub czytywane tylko przez specjalistów tomy Platona, Montaigne'a, Cervantesa, Pascala, Stendhala czy Tołstoja. Nigdy Prus, Conrad, Dumas, Walter Scott, Orzeszkowa, a nawet Kraszewski nie cieszyli się podobną popularnością, jako lekarstwo i narkotyk dla ludzi pragnących za wszelką cenę choć przez chwilę zapomnieć jak bardzo ciężkie są ich serca.

Jedną z miar wartości książki jest jej długowieczność. Książki dobre nie starzeją się. Potrafią stawić bohaterski opór upływającemu czasowi. Lata narastające nad stronicami książek nie zacierają ich walorów, ale je utrwalają.

Czas, ten bakcyl rozkładowy, zabójczy dla utworów literackich, pokonał niejedną, modną w czasach przedwojennych, książkę. Mnóstwo zachwycających i na pozór nieśmiertelnych dzieł zestarzało się z przerażającą szybkością w ostatnich pięciu latach wojny. Brutalna rzeczywistość wojenna zdemaskowała i przekreśliła całe garście tematów, które wydawały się przedtem ważne i aktualne.

Do nielicznych książek, które nie tylko oparły się tej czystce przeprowadzonej przez samo życie, ale przez lata nabrzmiały aktualnością należy „Nadzieja" André Malraux. Bo każda książka ma podobnie jak każdy człowiek swoje indywidualne istnienie. I jak człowiek zachowując rdzeń zasadniczy swego życia wewnętrznego, zmienia się zależnie od otaczających go warunków, tak samo utwór literacki, choć słowa zostają w nim te same, nabiera nowej treści, nowego znaczenia w miarę, jak zmienia się świat naokoło niego.

To co w roku 39, w chwili wydania „Nadziei" po polsku, było w tym utworze tylko trafnym oświetleniem wypadków współczesnych, nabrało w przebiegu wojny siły proroczego wyczucia, stało się nowym smakiem i sensem. To, co Malraux przedstawia jeszcze jako próbę sił faszystowskich, manewry, których ofiarą padła Hiszpania, dziś wiemy, że przerodziło się w straszliwy huragan faszyzmu, zarazę, która zniosła z powierzchni Europy tysiące miast i miliony istnień. Samorzutna walka ludu hiszpańskiego z nacierającym faszyzmem, walka beznadziejna i tym bardziej bohaterska, która w chwili pisania powieści rozgrywała się tylko na terenie Hiszpanii, w czasie wojny ostatniej ogarnęła całą ludzkość łącząc narody przeciw brunatnemu niebezpieczeństwu. Doznajemy wrażenia, że Malraux w ostrym jasnowidzeniu skupił w swej powieści embriony przyszłych wydarzeń, zalążki historii, które w następnych latach napęczniały treścią i wypełniły szczelnie cały świat. Granica, dzieląca Hiszpanię na dwie połowy: faszystowską i antyfaszystowską, wkrótce potem wyrosła w potężny mur, który rozkroił całą kulę ziemską na dwa obozy. Stanęły naprzeciw siebie dwie idee: faszystowska zaborcza nienawiść przeciwko umiłowaniu wolności, równości i braterstwa. Starły się dwie pieśni: „Deutschland, Deutschland über alles" i „Międzynarodówka".

Dziś innymi już oczami patrzymy na bohaterstwo ludu hiszpańskiego, który stratowany niemiecko-włoskimi czołgami musiał wtedy ulec. Pozostała mu tylko nadzieja, o której mówi stary Alvaer: „W człowieku tkwi straszliwa i głęboka nadzieja... Ten, który został niesłusznie skazany, ten, który napotkał zbyt wiele głupoty, niewdzięczności, czy nikczemności, musi w czymś ulokować swoją stawkę"... Dziś nadzieja, która ożywiała lud hiszpański, stała się ciałem. Dziś pieczęć straszliwej klęski zamyka historię faszyzmu, rozstrzelany Mussolini nie doczekał się międzynarodowego sądu, Hitler nawet jeśli żyje fizycznie, faktycznie nie istnieje, inni prorocy faszyzmu uciekają z ruin swoich państw, z życia historii jak karakony z palącego się domu. Dziś, gdy wojska radzieckie, swój długi marsz ze Stalingradu, Orła i Woroneża skończyły w Berlinie, my oszołomieni i otępieni cieszymy się raczej mózgiem niż sercem z ostatecznego zwycięstwa. W chwili gdy faszyzm, jeszcze wczoraj podobny morderczej kuli dum-dum rozrywającej ciała narodów, pochodni zapalającej świat, dziś rozgromiony na wszystkich frontach szuka jeszcze schronienia w objęciach gen. Franco i premiera Salazara, strzaskany jutro, pojutrze stanie się rekwizytem ze słownika doktryn politycznych — w tym momencie powieść Malraux nie jest już dla nas krzykiem na alarm ludu hiszpańskiego duszonego przez faszyzm, ale dokumentem stwierdzającym, czym był faszyzm i jaki krył w sobie potencjał niebezpieczeństwa.

Wzrastająca w miarę lat aktualność „Nadziei" zdumiewa nas.

I tak jak sam Malraux z lat hiszpańskich, ochotnik brygady międzynarodowej, musiał być kimś innym niż Malraux dnia wczorajszego, partyzant w walce z Niemcami, a innym jeszcze musi być obecnie jako dowódca brygady alzackiej i obrońca Strassburga, tak samo osobowości, którymi byliśmy w zamierzchłych czasach przedwrześniowych, są nam może znajome, ale bardzo obce. Kiedy ci odlegli czytali niegdyś „Nadzieję", osuwanie się ciał we własnoręcznie wykopane groby, czy kadłuby domów rozdartych bombami należały dla nich do wątku powieści. Powieści przejmującej, prawdziwej, żywej, ale jednak trochę egzotycznej. Dla nas takich, jakimi jesteśmy obecnie, ludzi, którzy z trudnością pod warstwą lat odnajdują zniekształcone fragmenty swej dawnej osobowości — ludzi, którzy do śmierci zachowają pod powiekami pejzaże spopielałych miast, a w uszach salwy egzekucyjnych plutonów, ludzi, którzy jeszcze po latach nie potrafią opanować skurczu krtani na odgłos głośniejszego pukania, a warkot samolotu kojarzy im się zawsze z piwnicą schronu — dla tych wszystkich zniszczonych wojną, książka Malraux to już nie tylko powieść o dalekiej Hiszpanii, to już ich własne dzieje, to żywe fragmenty ich strachu, ich wzruszeń, ich upokorzeń.

Ci, co walczyli o Warszawę w 1939 r., ci, co wypełzli spod jej gruzów w r. 44 — mimo woli szukają siebie w dusznych tygodniach bombardowania Madrytu, słyszą dzwonek budzika w zachowanej połowie mieszkania, przekrojonego na pół pociskiem, widzą na gruzach zbombardowanego domu ubranie podróżne przewieszone przez walizkę — jak gdyby przygotowane do podróży na tamten świat, czują ostry i mdły zarazem zapach krwi w szpitalach i przytułkach rozwalonych bombami niemiecko-włoskich faszystów.

Tym łatwiej ulec złudzeniu, że mamy tu do czynienia z naszymi własnymi i jedynymi przeżyciami, bo nie ma w powieści zasadniczych bohaterów, tak jak nie ma jednolitej akcji, kobiet i wątku erotycznego. Istnieje jak gdyby kolektyw bohaterów.

Wprawdzie na plan pierwszy wysuwają się sylwetki Francuza Magnina, szefa międzynarodowej brygady lotniczej i hiszpańskiego komunisty Manuela. Ich postacie powtarzają się w kolejnych etapach wojny hiszpańskiej, ich oczami widzimy najostrzej, ich sercami czujemy najgłębiej zrywy zwycięstwa i klęski strasznej i heroicznej Hiszpanii. Ale wokół nich pojawiają się i znikają szeregi walczących mężczyzn, z których każdego autor wyszarpuje z jego życia za pomocą paru skąpych słów i stawia przed czytelnikiem. Zaledwie zidentyfikujemy postać i zdążymy się do niej przywiązać, już musimy patrzeć na jej śmierć. Amerykanin, Arab, czy Bułgar, robotnik obok historyka sztuki, chłop razem z inżynierem, komunista wraz z anarchistą i bezpartyjnym — złączeni w szeregach międzynarodowych brygad, czy milicji ludowej, walczą namiętnie z faszyzmem o wolność swoją i cudzą. Ludzi tych łączy braterstwo. Nie to sentymentalne, remarquowskie, ale cierpkie i czułe pozbawione patosu braterstwo międzynarodowe i międzyklasowe. Braterstwo ludzi miłujących wolność. Momenty skapotowania samolotów, czy zaciętych walk brygad międzynarodowych, kiedy dowody tego braterstwa nawet najbardziej zgorzkniałemu czytelnikowi mogły by powrócić wiarę w człowieczeństwo — należą do najmocniejszych punktów powieści.

Akcja utworu bardzo niejednolita przenosi się z miejsca na miejsce. Atak na koszary faszystowskie w Barcelonie, obrona Madrytu, utrata Toleda i Alcazaru, opanowanie sytuacji w Aranjuez, walki nad Manzanares, front pod Gaudalajarą, naloty na Truel, te wszystkie etapy, o których mówiły nam kiedyś gazety pobieżnie swoim martwym językiem wyłaniają się przed nami jako plastyczne i wstrząsające rozdziały walki narodu hiszpańskiego z faszyzmem.

Im serdeczniejszy jest nasz stosunek do książek, im mocniej są one wrośnięte w nasze życie, tym silniej odczuwamy potrzebę, nawet konieczność powracania w pewnych odstępach czasu do tych, które są nam bliskie. W czasie tych spotkań rodzą się w nas nowe zachwyty i nowe zawody. Ten rachunek sumienia na tle książek pozwala nam uświadomić sobie, często ze zdumieniem, jakie zmiany zaszły w nas i w naszych książkach.

I każdy, kto chce zrewidować swój stosunek do powieści „Nadzieja", znajdzie w niej coś więcej niż przyjemność przeczytania wybornej książki. Stwierdzi, jak w łańcuchu przeobrażeń, które przewróciły świat podszewką do góry, nasze własne wcielenie z roku 1939 jest niepodobne do wcielenia z roku 1945.

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

Wspomnienia o Stefanii Sempołowskiej

„Groby wy nasze, ojczyste groby,
Wy, pełne życia mogiły!
Wy nie ołtarze próżnej żałoby,
Lecz twierdze siły.
Nie z szlochem żalu, nie z westchnieniami,
Nie z pustym szeptem pacierzy,
Ale z płonącym sercem przed Wami
Stać dziś należy."

Przytaczam ten wiersz Konopnickiej nie po to, by podkreślić jego niezwykłą aktualność w czasach, gdy nadmiar ojczystych grobów stał się po prostu rolą pod nowy zasiew. Nie chcę też nim uświetniać znaczenia, jakie ma minione życie Stefanii Sempołowskiej dla naszej demokratycznej i rewolucyjnej tradycji i dla naszej lepszej przyszłości. Wiersz ten łączy się dla mnie zwyczajnie z pierwszym wspomnieniem o jej żywej osobie. Był wypisany ukośnym charakterystycznym pismem „panny Stefanii" pod fotografią przedstawiającą „pogrzeb pięciu poległych w Warszawie w r. 1863". Dostałam tę fotografię od niej przy okazji odczytu dla dzieci wygłoszonego na temat powstania w jednym z inteligenckich mieszkań warszawskich przed pierwszą wielką wojną.

Pamiętam do dziś ten odczyt. Sugestywny, mocny głos panny Stefanii mówiącej nam o uniesieniach i męczeństwach beznadziejnej walki z caratem, gromadę dzieci zasłuchanych i wzruszonych i biały kwadrat ekranu, na którym ostrosłup światła wyczarowywał postacie cyklów powstańczych Grottgera. Tam, na ekranie, biała muza z gwiazdą na czole prowadziła artystę po pobojowiskach i zgliszczach. Tu, bliżej, czarno ubrana, wyniosła postać, półukryta w cieniu tak samo jak tamta, wskazywała pałeczką na obrazy, prowadziła, mówiła, wzruszała...

Byłam wtedy małą dziewczynką, i był to dopiero początek. Ale odtąd już przez wiele lat wyniosła, czarno ubrana postać panny Stefanii prowadziła mnie, wskazywała, nauczała...

Stefania Sempołowska wkroczyła w moje dziecięce życie jako nauczycielka polskiego i historii, jako redaktorka tygodników dla młodzieży i dzieci, jako najbliższa przyjaciółka naszego domu.

Przez cały ten okres życia szłam jej śladem do coraz nowych wrażeń i wzruszeń, do coraz pełniejszego zrozumienia obowiązków i praw człowieka. Prowadziła mnie i moich rówieśników do najpiękniejszych utworów literatury polskiej i światowej, z niezrównaną intuicją i znawstwem wybierając z katalogów to, co może zachwycić i wzbogacić dziecięce dusze. Prowadziła nas przez epoki historii, oświetlając i podkreślając z przekonaniem momenty, świadczące o rozwoju i postępie ludzkości. Prowadziła nas między ludzi, ucząc nas miłości i szacunku do życia we wszystkich jego objawach. I prowadziła nas także na groby i między stare mury, budząc uznanie i wdzięczność dla pracy i zdobyczy minionych pokoleń.

Pamiętam ją tak dobrze na tych wszystkich drogach poznania. Widzę ją, pochylającą się nad pierwszym numerem pisma, które „z bliska" miało iść „daleko" i nieść dzieciom polskim piękne słowa i szlachetną myśl. Widzę ją, kładącą pachnący bez majowy w ręce staromiejskiej żebraczki. Słyszę jej wibrujący głos, gdy mówiła nam wiersze Mickiewicza i Słowackiego, i wyróżniam jej charakterystyczną postać w czarnej powłóczystej szacie, romantycznej na tle złotych, jesiennych drzew cmentarzyka na Woli, gdyśmy wśród grobów chórem śpiewali — „Warszawiankę".

W miarę przechodzących lat teren prac i działalności Stefanii Sempołowskiej, zawsze tak bogaty, rozszerzał się jeszcze. Wybuchła wielka wojna. Praca społeczna w okresie okupacji niemieckiej, praca wychowawcza, oświatowa w czasach kształtowania się państwowości polskiej obejmowała coraz szerszy zakres, mobilizowała coraz więcej sił.

Rosłam i mogłam już w niej z dumą przyjmować pomocniczy udział. Znana mi tylko z opowiadań legenda „Pomocy więziennej z ul. Królewskiej" stała się dla mnie rzeczywistością, podobnie jak „Biuro porad dla bezdomnych przy ul. Kotzebuego" i później „Uniwersytet ludowy przy ul. Obożnej". Jako dziesięcioletnia dziewczynka malowałam olejno łóżka w „Gospodach dla bezdomnych na Bielańskiej i Okólniku"; roznosiłam jako goniec zawiadomienia o wystawach i odczytach organizowanych przez Stefanię. Pomagałam z przejęciem i zachwytem w urządzaniu tych wystaw: historycznych, poświęconych kolejno trzem powstaniom i gromadzących ogromny materiał pamiątek i dokumentów, oraz przyrodniczych urządzanych w Muzeum Pedagogicznym przy Jezuickiej. Przysłuchiwałam się także z entuzjazmem odczytom i przemówieniom oraz pogadankom popularnym, wygłaszanym z nieporównanym darem wymowy i siłą sugestii.

Mimo tak licznych kontaktów, tak ścisłego, codziennego prawie współżycia pamiętam z tych czasów Stefanię Sempołowską raczej jako dekoracyjną niezwykłą sylwetę, niż jako osobowość. W dzieciństwie nie widzi się dokładnie tych, których się kocha. Panna Stefania była zbyt blisko, na codziennych lekcjach w szkole, w redakcji, w uniwersytecie ludowym, w księgarni, w domu. Była jak gdyby medium, przez które Ludzkość, Polska, poezja, piękno przemawiały do mnie i użyczały mi swej łaski.

I dopiero o wiele później, gdy życie rozluźniło te powszednie kontakty, a krótkowzroczne spojrzenie dziecka nabrało perspektywy, zaczęła się w moich oczach rysować wypukle i wielostronnie postać Stefanii Sempołowskiej.

Z jej własnych opowiadań i wspomnień poznałam ją dawną, zrozumiałam ją nie tylko na tle epoki, która ją kształtowała, ale i na tle pokoleń, które ją wydały.

Dziwnie jest mówić o jakiejkolwiek genealogii w stosunku do osoby o tak rewolucyjnym duchu jak Stefania Sempołowska. A jednak wynikała ona tak bezpośrednio z porywów wiosny ludów, z czerwonego płomienia Mirosławszczyzny, z egzaltacji „entuzjastów", grupujących się wokoło Dembowskiego i Żmichowskiej, z żałobnego romantyzmu 63 roku. Spod dachu szlacheckiego dworu w Wielkopolsce wyniosła nie tylko tradycje rycerstwa i wieloletniej walki o wolność, ale i niezależny gest, którym buntowała się przeciw każdej formie reakcji, niesprawiedliwości, przemocy. Jej buntowniczość, odwaga, specyficznie polska postępowość pojmowana w najszerszym społecznie sensie, harmonizowała zarówno ze starymi portretami rodzinnymi zdobiącymi ściany jej pokoju, z klęcznikiem babki, przechowywanym z pietyzmem, jak i z rytmami wierszy cytowanych przez nią poetów Młodej Polski — z czarną suknią żałoby narodowej i płomiennym sztandarem nieustraszonej walki o wolność i sprawiedliwość.

Irracjonalne i cierniste były szlaki, które przed przeszło pół wiekiem piękną i młodą dziewczynę z tzw. „najlepszego domu" poprowadziły ku wielkim i trudnym do osiągnięcia celom. Patetyczne i twórcze szaleństwo polskie patronowało tym pierwszym krokom. W każdym razie już z pensji p. Pappi, z niezapomnianych lekcji nauczyciela i przyjaciela Mariana Józefa Potockiego znanego pod pseudonimem Bohusza (którego Żeromski nazwał „synem nieśmiertelności"), wyszła młodziutka Stefania Sempołowska jako dojrzały i świadomy bojownik jutra. Była nauczycielką na tzw. kompletach, nauczycielką prywatną i organizatorką tajnego nauczania, wykładała na kursach dokształcających dla chłopów i robotników, prowadziła własną szkołę dla dziewcząt, potem uczyła w kilku szkołach średnich. Uczyła polskiego, historii, geografii. Uczyła świetnie, nowocześnie, z polotem, z żarliwą wiarą w ważność nauki i z entuzjazmem, który zjednywał jej bez reszty serca uczniów.

Ale nie zasklepiała się w dziedzinie wychowania, tak samo jak nie ograniczała do studiów jednego przedmiotu. Pisała, organizowała, walczyła. Z dziedziną jej pracy nauczycielskiej stykała się praca wydawnicza i redaktorska oraz praca literacka. Z głębokich studiów historycznych i społecznych wynikły książki i broszury: „Reforma szkolna Wielopolskiego w 1862 r.", „Zapomniana karta z dziejów szkolnictwa", „Nędza szkoły galicyjskiej" (rezultat przymusowego pobytu w Krakowie), „O Żydach w Polsce" oraz umieszczane w czasopismach biografie Kościuszki, Żmichowskiej, wiele innych artykułów na rozmaite tematy. Umiłowanie historii i geografii, kult bohaterskich tradycji ukształtowały jej stosunek do stolicy i były źródłem aż kilku prac: „Przewodnika po Powązkach" (słynne były jej wycieczki na Powązki, gdzie porywała słuchaczy swą płomienną wymową); „Warszawy" (wyd. w r. 1922) i „Warszawy wczoraj i dziś", zbiorowej pracy pod jej redakcją (której pierwszą część skonfiskowano w 1938 r., a druk drugiej części uniemożliwiła wojna).

Miłość dziecka, prawdy i postępu określiła kierunek prac redaktorskich Stefanii Sempołowskiej. Nie mogąc sama sprostać własnym piórem potrzebom umysłowym i ideowym swych młodych czytelników, poszła drogą wydawania antologii lub wypisów. Trzy tomy wydane wspólnie z Julią Unszlicht-Bernsteinową pt. „Dla przyszłości", „Religia w życiu ludzkości", „Człowiek i ludzie" są do dziś dnia kopalnią najpiękniejszych fragmentów humanitarnej i szlachetnej myśli ludzkiej.

Następnie od roku 1914, a potem z krótką przerwą od 1915—1928 r. redagowała Sempołowska wraz z Janiną Mortkowiczową, tygodnik dla dzieci i wychowawców pt. „W słońcu", który zastąpił wychodzące w 1914 r. pismo dla starszej młodzieży pt. „Z bliska i z daleka". Jego piękne i bogate artystycznie numery przynosiły niedrukowane gdzieindziej utwory Żeromskiego, Kadena, Wielopolskiej i wielu innych. Charakter popularny miały wydawane także z J. Mortkowiczową czytanki pt. „W domu i w szkole", przeznaczone dla szkół powszechnych.

Stefania Sempołowska wychowała w swym duchu całe pokolenia młodzieży. Ale i w dziedzinie wychowania, jak i w całym swym życiu łączyła wybujały indywidualizm z szeroko rozbudowanym instynktem społecznym. Bardzo osobisty, pełen wyrozumiałości i ożywiony nieraz po prostu macierzyńską ambicją stosunek jej do każdego z uczniów, nie tamował rozmachu organizatorskiego, z jakim przystępowała do spraw urządzania bezpłatnych czytelni, wypożyczalni pomocy naukowych, gospód bezalkoholowych, organizacji nauczycielskich tzw. kół pedagogicznych (przekształconych później na Związek Nauczycielski), różnorodnych kursów i wykładów dokształcających, wreszcie w okresie wielkiej wojny — uniwersytetu ludowego.

Gorący, szczery, aktywny stosunek do ludzi, odważne i bezkompromisowe poczucie sprawiedliwości postawiło Stefanię Sempołowską od razu, od pierwszych lat jej pracy w szeregu walczących. Do czasu wielkiej wojny walczyła z caratem, broniąc przed jego prześladowaniem nie tylko ducha, ale właśnie cierpiącego człowieka. Lata całe prowadziła wraz z adwokatami i działaczami społecznymi — Stanisławem Patkiem, Leonem Berensonem, Henrykiem Landym, Eugeniuszem Śmiarowskim — akcję pomocy dla więźniów politycznych, walcząc o życie z okrucieństwem carskich rządów. A potem w Polsce niepodległej nie zaprzestała tej walki, ona, która narażała się na prześladowania i więzienia w epoce rewolucji 1905-7 roku, ona, która w Polsce śmiało protestowała w 1920 r. przeciwko obozowi odosobnienia dla żołnierzy-Żydów w Jabłonnie (pod jej protestem pierwszy położył swój podpis — Stefan Żeromski) — stała wiernie na straży praw prześladowanych wobec władz Rzeczypospolitej.

Koniec wielkiej wojny, konferencja pokojowa w Rydze, wyprowadziły działalność Stefanii Sempołowskiej na szeroki teren. Miliony zdemobilizowanych jeńców wojennych, pielgrzymki wracających do rodzin wygnańców domagały się opieki. Stefania Sempołowska z ramienia rosyjskiego Czerwonego Krzyża podjęła się tej funkcji, podczas gdy wzajemnie sprawami polskich jeńców i więźniów politycznych w Rosji zajęła się żona Maksyma Gorkiego — Pieszkowowa. Ta praca czasowa, dotycząca likwidacji nieszczęść wojennych, ustaliła się w czasach pokoju w formie placówki, mającej roztaczać opiekę nad więźniem politycznym, mieściła się zaś w jej mieszkaniu przy ul. Smolnej 7. Wzajemna pomoc i równorzędne wysiłki opiekuńcze Sempołowskiej i Pieszkowowej warte są oddzielnego studium. Iluż więźniów politycznych w Rosji, iluż repatriantów polskich z Sybiru wróciło do domów dzięki staraniom tych dwóch ofiarnych kobiet! Ileż bram więziennych w Polsce otwierało swe kraty i tajemnice przed czujnym spojrzeniem Stefanii Sempołowskiej!

Gdy Matylda Wrede — działaczka szwedzka — rozsławiła się powszechnie jako anioł dobroci, dzięki swej opiece nad więźniami kryminalnymi, — praca Stefanii Sempołowskiej łączyła w sobie pierwiastki ofiarnej miłości i opieki macierzyńskiej z nieugiętym stanowiskiem lewicowym. W pierwszych latach działalności Sempołowska korzystała z pewnej pomocy Ministerstwa Sprawiedliwości. Była jedyną osobą mającą prawo wstępu do najcięższych więzień w Polsce. Potem stosunki się zmieniły. Pozbawiono ją dawnych uprawnień, poczęto ją zwalczać. Nie ograniczyło to jej możliwości ani nie osłabiło energii. Zorganizowane „Biuro" na Smolnej trwało nadal, jako jedyna instancja, gdzie wszystkie ponure tajemnice wielkich procesów politycznych, tragedie prześladowań i pacyfikacji kresowych, nędze i rozpacze osieroconych rodzin robotników fabrycznych i chłopów ukraińskich znajdowały komentarz, zrozumienie i pomoc.

Ta praca olbrzymia, na miarę najpotężniejszego umysłu i najtwardszej woli, której syntezą literacką była skonfiskowana książka „O więzieniach", nie zamykała indywidualności Stefanii Sempołowskiej w kręgu jakiejkolwiek doktryny czy przymusu.

Panna Stefania obciążona nadmiarem obowiązków, obarczona odpowiedzialnością za tysiące istnień — nie przestała być sobą. Po dawnemu ubierała się w czarną, powłóczystą suknię romantyczną, po dawnemu deklamowała ulubionych poetów, dyskutowała nocą o książkach przy mocnej czarnej kawie, wspominała swe młodzieńcze rozmowy w Teatrach z Micińskim i Tetmajerem... W Londynie zawierała przyjaźń z amerykańskim kwakrem, w Moskwie potrafiła się porozumieć doskonale z radzieckim politykiem. W swym szafirowym pokoju na Smolnej przyjmowała z jednakową serdecznością i gościnnością zarówno każdego z dawnych swych uczniów, jak wysokich dostojników państwowych, zarówno chłopa białoruskiego, uwolnionego z więzienia, jak Duhamela lub innego znakomitego gościa zagranicznego. Gdy pilne i niecierpiące zwłoki sprawy wzywały ją często do Moskwy, romantyczna i podróżnicza fantazja niosła ją w Pireneje lub do Japonii.

W miarę narastających doświadczeń i obowiązków, rozszerzających się horyzontów, z niczego nie chciała rezygnować, niczego porzucić. Nie rozchodziła się ze starymi przyjaciółmi, zyskując nowych. Nie chciała zaprzestać lekcji w szkołach średnich, chociaż czas jej wyładowany był po brzegi najróżniejszymi konferencjami politycznymi. Raz po raz chwytała za pióro, aby na podstawie źródeł sowieckich dać obraz solidarnej pomocy świata dla robotników podbiegunowych w książce pt. „Na ratunek", lub przetłumaczyć książkę dla dzieci o dziejach podbojów i okrucieństw kolonizacyjnych w Afryce („Mapa Afryki opowiada").

Jakże fascynująca, wspaniała, zniewalająca wiecznie młodym wdziękiem, porywająca wiecznie młodym entuzjazmem, zadziwiająca bogactwem zainteresowań i zasobem wiadomości była panna Stefania! Z jaką miłością i ufnością wracało się z dalekich dróg własnego życia do jej zacisznego pokoju, gdzie czekała przyjaciół zawsze serdeczna, interesująca się każdym szczegółem ich życia, gotowa do rad i pomocy, a zawsze tak szlachetna, o tak szerokich horyzontach myśli i uczuć.

Nie ma jej dziś żywej wśród nas i już tylko wedle przytoczonych na wstępie słów poetki z mogiły jej płynie twórczy fluid mocy i wiary w przetrwanie. Zabiła ją wojna, okupacja niemiecka. Ta wielka nieokiełznana indywidualność nie potrafiła się zmieścić w ramach zakreślonych życiu przez nienawiść. Przygasając, ginąc, zrywała się jeszcze chwilami do buntu, sama — bezsilna starała się nieść pomoc tym, których najciężej dotykała przemoc niemiecka. Ale jeszcze ostatnim wysiłkiem starganych myśli i uczuć biegła ku tej przyszłości, dla której pragnęła wychowywać nowe pokolenia polskich dzieci w miłości i poszanowaniu człowieczeństwa. Całe swe życie poświęciwszy walce ze złem i okrucieństwem chciała zawczasu zwalczać trujący posiew tej nienawiści w młodych duszach...

Nie rozumieliśmy, nie chcieliśmy jej zrozumieć w czasach, gdy trzeba było walczyć ze złem uosobionym w rządach hitlerowskich i kiedy w walce tej bezwzględnej nienawiść musiała być nieubłagana. Lekceważyliśmy wówczas jej przestrogi i obawy.

Dziś, gdy wróg został pokonany, zaczynamy na nowo troszczyć się o czystość dusz naszych dzieci. I w takich chwilach widzę przed sobą Stefanię Sempołowską. W jej ascetycznych, wyniszczonych przez starość i cierpienie rysach, odnajduję ostrzegawczy, wieszczy ogień Kassandry.

LECH PIWOWAR

JAK PRZEZ OKULARY

W krajobrazie, w którym uczyłem się oddychać,
dym był tylko piorunochronem komina,
niebo ściągało do ziemi, wchodziło pod ziemię.
Czarne niebo gómika!
Nawet szczury muszą tam zdychać!

Okiem opłynąć głowę, im wyżej tym ciemniej.
Tylko jasna, tylko czerwona fabryka.
Przez mury widzę świat najdalej.
Kryształy powietrza ukryte w innej przyrodzie,
góry bezludnej przestrzeni, niedzielna tęsknota,
jak pięty odmładzane w wiejskiej wodzie,
jak zerwany z walca szyi kołnierzyk —
nie są to żadne bajki z dziecięcego złota:
gdybym to napisał, umiałbym to spalić,
tak łatwo to przeżyć!

Między cegłą i cegłą, w wapnie co je spaja,
w dłoni co waży kamień, nim go w powietrzu ułoży,
widzę przyszłą przyrodę mego kraju,
piękniejszą od róży, wonniejszą od zorzy.

Na kamieniu, co młotem przygładzony czeka
gmachów, tak jak ja czekam myśli na myśl —
już stoi biały pomnik człowieka,
niewidzialny dziś?

1937 r.

W poprzednim (27) numerze „Odrodzenia" z dnia 3 czerwca: **Mieczysław Wionczek:** Wrocław po raz drugi. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia. — **Jan Cybis:** Nauka malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych. — **Stanisław Dygat:** Ciotka Walerka. — **Jan Nepomucen Miller:** Aleksander Herzen a sprawa polska. — **Paweł Kos:** Warszawskie pomniki. — **Jan Kott:** Podstawy polityki kulturalnej. — **Zuzanna Ginczanka:** Przebudzenie. — **Kazimierz Wyka:** Poezja Tytusa Czyżewskiego. — **Helena Wielowieyska:** Budowniczy stylu. — **Artur Sandauer:** Możliwości nowej prozy. — **Juliusz Kydryński:** Z teatrów krakowskich. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedzi **Tadeusza Brezy** i **Mieczysława Jastruna.** — **Stefania Łobaczewska:** Przegląd muzyczny. — **(jfr):** Teatr w Białymstoku. — **(kb):** Przegląd prasy. — **Jacek Frühling:** Nowe drogi filmu polskiego. — **Stanisław Piętak:** W dzisiejszej Łodzi. — Kronika. — Kalendarz kulturalny. — 1 ilustracja. — 8 stron.

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI

W sprawie dzieł sztuki ludowej

W ubiegłych wiekach dziełami sztuki ludowej mało kto się interesował lub wcale się nie interesowano, uważając je widocznie za prymitywne i barbarzyńskie. Odkrycia ich (jako rzeczy wartościowych) dokonał dopiero romantyzm, z początku w dziedzinie pieśni ludowej; zainteresowanie się okazami budownictwa i plastyki przyszło jeszcze później, pod sam koniec XIX w.

Znaleźli się amatorzy, którzy (może pod wpływem czytania Matlakowskiego, Glogera, Chałubińskiego i innych) zaczęli opróżniać strychy kościółków, kapliczki i krzyże przydrożne z figur świętych, chałupy chłopskie z obrazków na szkle, sprzętu wszelakiego, okazów garncarstwa ludowego i gromadzić u siebie składy tych rzeczy. Po śmierci właścicieli rzeczy te albo rozprószyły się między pomniejszymi zbieraczami, albo zostały wykupione za psie pieniądze przez domorosłych handlarzy antyków. Co lepsze zostały po pierwszej wojnie światowej wywiezione do antykwariatów wiedeńskich lub utonęły po mieszkaniach cudzoziemców jako „pamiątki" z terenów wojny lub ciekawostki „barbarzyńskiej" kultury europejskiego wschodu; dla nas stracone bezpowrotnie. Tak przysłużyła się sprawie sztuki ludowej pierwsza fala zbieraczy; odegrali oni mimowoli rolę pierwszych pośredników w niszczeniu pamiątek kultury plastycznej ludu polskiego. Praktycznie bowiem rzeczy wywiezione i rozprószone, a przy tym pozbawione jakichkolwiek znaków rozpoznawczych, mogą być uważane za stracone.

Druga fala „zbieraczy" była jeszcze gorsza. W pewnych kołach inteligencji powstał bowiem snobizm swego rodzaju, polegający na wyszukiwaniu jak najdziwaczniejszych rzeźb, drzeworytów i obrazków — i ozdabianiu nimi „nowoczesnych" wnętrz mieszkań. Około 1905—1930 (oczywiście daty bardzo zgruba mogą być tu ujęte) falangi rozmaitych wycieczkowiczów zabawiały się w małych Matlakowskich; rozłaziło się to po całym kraju, zaglądało do chałup, wymieniało, kupowało za bezcen, kradło bezceremonialnie z kapliczek i krzyżów przydrożnych różne „egzotyczności", po to, by je po pewnym czasie „entuzjazmu" zdegradować do nieużytków, odłożyć do domowych rupieci i w końcu wyrzucić.

Słyszało się różne dziwy na temat owych „miłośników"; dla przykładu niech wystarczy działalność notariusza, którego manią było nie tylko zbieranie, ale fantastyczne przemalowywanie na papuzie kolory i odlakierowywanie rzeźb ludowych. Rzecz jasna, że traciły one bezpowrotnie swą wartość dokumentarną i jeśli nawet istnieją jeszcze, należy je uważać za bezpowrotnie stracone.

Do partaczy-niszczycieli można zaliczyć jeszcze jedną kategorię zbieraczy. I tu się zaczyna naprawdę przykra historia. Są to bowiem ludzie z pretensjami do znawstwa, z ambicjami do „ratowania" zabytków sztuki ludowej, z wyższym wykształceniem, inteligentni, słowem tacy, od których należało oczekiwać lepszego rozumienia tych rzeczy. Oto charakterystyczny przykład. Autor był zaproszony swego czasu do Dębicy dla wygłoszenia wykładu, miał on się odbyć w gmachu tamtejszego gimnazjum. W gabinecie dyrektora — na kasie żelaznej — stoi poczerniała rzeźba ludowa; parę innych nieco dalej. Skąd się te rzeczy tu wzięły, kto się nimi interesuje? Ano, okazuje się, że sam pan wizytator szkolny z Krakowa! A jakże! Przyjeżdżał sobie ten pan — w urzędowym charakterze! — i zamawiał po prostu u dyrektora jak najwięcej świątków, dyrektor mobilizował z kolei uczniów gimnazjum — i odbywał się systematycznie zorganizowany przez tych panów rabunek wszystkich kapliczek okolicznych w promieniu zapewne dość dużym; a że okolica była głucha i przez wycieczkowiczów nie wyeksploatowana, przeto połów był niemały. To, co pan tu widzi — mówił dyrektor — to tylko te resztki, których pan wizytator „nie chciał zabrać", rzeczy wysortowane. Zainteresowałem się panem wizytatorem; powiedziano mi, że ten „miłośnik" ma u siebie cały skład świątków. Nie można tego inaczej nazwać, jak składem, ponieważ rzeczy te były zbierane niefachowo; uczniowie nie fotografowali całości, z której je wyrwali, nie były notowane dane co do miejsca pochodzenia. Dla przyszłego muzeum etnograficznego i dla przyszłego badacza sztuki ludowej wartość dokumentarna tak zbieranych okazów jest bardzo mała.

W krakowskim muzeum etnograficznym jest parę bardzo interesujących okazów; niestety, nic bliższego dyrekcja o nich nie mogła powiedzieć, ponieważ zostały wykupione lub otrzymane z rąk czyichś, kto nie potrafił nic bliższego podać, oprócz takich np. ogólnikowych wypowiedzi: „to, zdaje się, kupiłem w lubelskim" itp.

Jest w tej sprawie kilka momentów, które należy poruszyć w interesie publicznym. Po pierwsze, zabieranie okazów sztuki ludowej z miejsc, dla których zostały stworzone, do prywatnych zbiorów jest naruszeniem prawa własności, w tym wypadku bowiem właścicielem jest naród polski — nie jest to wcale „własność niczyja". Po drugie, zabieranie ich bez poprzedniego naukowego opisu jest barbarzyństwem. Po trzecie, wciąganie do tej akcji jeszcze uczniów i zależnych urzędników jest rzeczą karygodną ze stanowiska pedagogicznego.

Powinna być wydana ustawa o ochronie dzieł sztuki ludowej, która by ludziom nie poczuwającym się uświadomiła wyraźnie, o co chodzi. Polska jest, a przynajmniej była do niedawna, krajem bardzo bogatym w dzieła sztuki ludowej — niewiele jest takich krajów w Europie. Dla naszej kultury w ogóle ma to duże znaczenie. W szczególności zaś artyści i osoby zajmujące się sztuką użytkową są zainteresowani w tym, by istniały zbiory sztuki ludowej. Oczywiście muszą one być dostępne, to znaczy niezależne od widzimisię jakiegoś prywatnego maniaka, założyciela hurtowni świątków. Powołane do zbierania mogą być tylko osoby wykwalifikowane i upoważnione, zaś miejscem zbiorów powinny być wyłącznie instytucje publiczne, muzea czy szkoły sztuki użytkowej.

Po prostu

O zamówieniu społecznym

Przed paroma tygodniami ukazał się nakładem Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego tom „Wierszy i pieśni Armii Ludowej". Tomik ten, poza utworami Jastruna i Leca, zawiera wyłącznie wiersze poetów niedawno debiutujących, albo też zupełnie nieznanych, a nawet bezimiennych. I może właśnie przez to ten niewielki zbiorek sprawia na nas wrażenie czegoś w znacznej mierze odrębnego od dawnych i obecnych tomów poetyckich. I to nie tylko przez swą wartość ideową i inny klimat moralny. Są w tym zbiorze utwory, które zdają się zapowiadać pewne nowe możliwości artystyczne, różne od dotychczasowej praktyki poetyckiej, nowe drogi wyjścia z „zaczarowanego koła" poezji symbolistycznej i impresjonistycznej. Przez wiele lat uwodziło nas wszystkich hasło „upoetycznienia rzeczywistości", z tego tomiku moglibyśmy wyczytać program „urzeczywistnienia poezji". Urzeczywistniać poezję — to znaczy pisać takie wiersze, w których elementy nowej rzeczywistości społecznej rozsadzają stare formy poetyckie. Rozsadzają, ponieważ nie mogą się w nich pomieścić.

Tak, na przykład, w drukowanym przed tym w „Odrodzeniu" wierszu Heleny Jaworskiej „Śmierć", czytamy:

Dokąd biegniesz? Zatrzymaj się za rogiem.
Czyż nie widzisz śmierci w szarym hełmie?

Ten bardzo prosty i przejmujący obraz może służyć za przykład konkretyzacji, której istotą jest odarcie symbolu z jego tradycyjnego kostiumu. Śmierć, związana z obrazem kościotrupa, albo też ukazywana w sposób wyłącznie abstrakcyjny, zostaje tutaj ze świata pozaludzkiego przeniesiona w rzeczywistość społeczną, zostaje utożsamiona z niemieckim żandarmem. Na inny, niemniej ciekawy przykład, zwrócił uwagę Mieczysław Jastrun. Oto początek wiersza ppor. Borowego „Na śmierć partyzanta":

W tyralierę!
Odbiegli od siebie szeroko
W skoku przez płoty,
Przez pachnące sady,
Przez malwy
I przez salwy.

W skoku przez płonącą wieś
I przez niedokończoną pieśń
Dopadli zboża,
Które przedłużyło im las
I pożar.

Skok przez sady i salwy, przez płonącą wieś i zerwaną gwałtownie pieśń, przypomina nam pozornie obrazy Przybosia, które powstają z zespalania różnogatunkowych widzeń. Podobnie — zboże, które przedłuża las i pożar, przypomina nam konstruowany krajobraz poetycki autora „W głąb las", w którym na tle zniżającego się i podnoszącego widnokręgu przesuwają się wzgórza. Zbieżności te są jednak tylko pozorne. Nowy obraz poetycki podporządkowany jest bowiem u Borowego, nie założeniom artystycznym utworu, ale wymaganiom treści. Uzasadnieniem deformacji widzenia nie jest dążenie do uzyskania jednolitości wizji, ale realistyczna wierność wobec konkretnych szczegółów akcji. Zboże, które przedłuża las, nie jest obrazem zlewających się na horyzoncie plam barwnych, ale po prostu zbożem, w które uciekając z lasu, można czmychnąć i skryć się przed kulami.

Wiele takich przykładów można by wskazać. Tutaj chcę zwrócić jeszcze tylko uwagę na wiersz tego samego autora pt. „Odwet" (mylnie przypisany w książce Helenie Jaworskiej), w którym w sposób niesłychanie gwałtowny i brutalny, za pomocą paru prostych słów ukazano kontrast pomiędzy świątecznym tłumem elegantów i pań, które poszły w Aleje na spacer z pieskami, a grupą chłopców idących z granatami na akcję. Prozaizm okazał się tutaj najsilniejszym środkiem poetyckim.

Większość utworów, zamieszczonych w tym tomiku, opatrzona jest datą. Daty te, często z odstępem zaledwie kilkudniowym, zbiegają się z terminami najważniejszych akcji Armii Ludowej w Warszawie. Świadczy to, że wiersze powstawały „na gorąco", że zostały napisane na wyraźne zamówienie społeczne. I to jest może właśnie jednym z najciekawszych zagadnień, do których poruszenia skłania omawiany zbiorek. Wyobrażamy sobie bowiem na ogół zamówienie społeczne, jako zamówienie... Wydziału Informacji i Propagandy, jako gotowy tekst, który nam podsuwają, aby go zrymować. Przed tymi rymowanymi ulotkami bronimy się, i bronimy się słusznie. (Ulotka i afisz najlepiej spełniają swój cel, kiedy są napisane prozą, i zawsze pozostaje dla mnie zagadką dziwne zamiłowanie do poezji urzędników Ministerstwa Propagandy). Ale istnieje jeszcze i inny typ zamówienia, kiedy życie społeczne żąda od literatury nowego języka i nowych obrazów, kiedy dzieją się sprawy, dla których dotychczasowe środki artystyczne przestają wystarczać.

Oto przykłady. W drugiej połowie osiemnastego wieku bojowej publicystyce mieszczańskiej przestał wystarczać klasyczny język. W obrębie dotychczasowych gatunków literackich nie można było walczyć ani o sprawiedliwy rozdział podatków, ani o zrównanie praw trzeciego stanu ze szlachtą. I oto Wolter stworzył na zamówienie społeczne nowy rodzaj literacki; była nim powiastka filozoficzna i owe słynne „paszteciki z Ferney", które są w istocie pierwszym dziennikarskim artykułem polemicznym. Co więcej, Wolter stworzył lub odgrzebał nowe słowa; pierwszy użył terminów „biurokracja" i „patriotyzm", pierwszy zaczął szeroko używać słowa „obywatel".

Podobnie i Mickiewicz. Trzecia część „Dziadów" stworzyła nowy gatunek literacki — dramat romantyczny. Klasyczne konwencje złamane zostały przez partie, które dziś nazwalibyśmy wielkim reportażem z procesu sądowego. Rewolucji artystycznej dokonało wprowadzenie niemal żywcem na scenę wielkich fragmentów rzeczywistej historii. Stworzyła ona nowy język artystyczny.

Trzeci przykład, to Majakowski. Nowe zagadnienia rozsadziły stare formy poetyckie. Nie sposób było klasyczną strofą pisać o wprowadzeniu kanalizacji do domów robotniczych. W system poetycki języka akmeistów nie można było przecież włączyć takich słów, jak „komitet centralny", „elektryfikacja", czy „piatiletka". A bez tych słów nie można było pisać o Związku Radzieckim.

Oczywiście, są to zjawiska w każdym z okresów historycznych przeważnie jednorazowe i niewspółmierne z małym tomem wierszy Armii Ludowej. Ale nawet ten skromny zbiorek wskazuje wyraźnie, że istotne odnowienie tych form poetyckich nastąpić może jedynie przez nacisk nowej tematyki, nowych zagadnień i spraw, które dotychczas nieme, żądają głosu.

Jan Kott

Tragiczna śmierć poety

Pamiętamy dobrze unaoczniony nam przez Remarque'a tragizm śmierci żołnierza w ostatnim dniu wojny: śmierci mściwej, przypadkowej, nikomu niepotrzebnej. Z szeregów armii pracowników pióra podczas tej wojny odszedł od nas tak samo, a może bardziej jeszcze przypadkowo, w przeddzień jej końca, zabity w wypadku samochodowym zdolny poeta warszawski — Józef Stachowski. Warszawski — jeśli chodzi o środowisko literackie, które go ukształtowało, jeśliby szło o ojczyznę, poetycką, o rodowód wzruszeń — poeta wierny wsi, która go wydała.

Józef Stachowski debiutował wierszami drukowanymi po czasopismach w latach 1934, 1935, oddzielny tomik poetycki pt. „Jaworowa baśń" wydał w r. 1939. Jest zbliżony stylem i upodobaniami do poetów grupujących się wokół osoby Józefa Czechowicza, wyróżnia się jednak spośród wielu z nich konkretnością wizji i dyscypliny, jaką narzuca wierszowi i którą w miarę swego rozwoju stale pogłębia. W czasie wojny Stachowski, mieszkający w Warszawie, należy do najczynniejszych poetycko twórców. Wiersze jego ukazują się licznie w podziemnych zbiorkach i antologiach, a jego miękka, obrazowa, barwna liryka wchłania bez zgrzytów i bez obniżenia walorów artystycznych elementy przetworzonej poetycko wojennej rzeczywistości. Stachowski nie rozmienia się nigdy i nigdzie na drobną monetę aktualnych, lecz szybko więdnących poezji publicystycznych. Z drugiej strony wyczuwa głęboko i nie omija nigdzie grozy wojennej, a jego wiersz do Warszawy i poetycki obraz bombardowania miasta należy do najsilniejszych i najlepiej udanych transpozycyj wielkich zdarzeń dziejowych w wojennej liryce. Pozostając głęboko sobą, poeta jest wyrazicielem niezachwianej wiary w sens poetyckiego przetwarzania świata, któremu jako wrogi żywioł przeciwstawia się kataklizm wojenny:

Aniołowie o skrzydłach z sitowia
zabłądzili w duchtach i ścieżkach,
dźwigają w cynowych konwiach
ciszę niebieską.

I upoją nią mnie i was,
barwne kwiaty na drogę wskażą,
tylko jeszcze kilkadziesiąt miast
zginie w pożarze.

(„Paprocie")

Trudno zaprzeczyć, że przy tej postawie zatraca się, a przynajmniej nie zostaje uwydatniony przez Stachowskiego żaden objektywny społeczny sens dziejowych zdarzeń, ale też trzeba pamiętać o tym, że wiersze te powstawały w czasie najczarniejszej nocy okupacji, w bardzo szczególnej atmosferze, w której na tle innych zjawisk poetyckich, albo zupełnie nieporadnych, albo zupełnie odległych od przeżywanej rzeczywistości, — stanowiły ożywczy strumień piękna świadomego swej roli, swych proporcji i wymiarów. Pod koniec okupacyjnego okresu Stachowski ma gotowy do druku tom, który udaje mu się sprzedać jednemu z ówczesnych nabywców i przystępuje do gromadzenia materiałów do nowego zbiorku. Ambicją Stachowskiego jest stworzenie nowego rodzaju własnej poezji, przebicie się w pobliże form epickich, zamknięcie bogatych treści wzruszeniowych w narracyjną lub opisową większą całość. W tym duchu rozplanowuje większy poemat pt. „Powrót", będący w treści swej ustaleniem stosunku poety do stale bliskiej mu rodzinnej wsi, z którą, mimo iż mieszka w Warszawie, stale jest związany i do której stale powraca. Pochód wyzwoleńczy nad Wisłę zagarnia go swym skrzydłem w tej właśnie wsi pod Garwolinem, gdzie zmuszony on jest tym razem z powodu odcięcia od stolicy pozostać dłużej niż leżało w jego planach. W przeddzień niemal rozpoczęcia się nowej ofensywy znad Wisły, która pozwoliłaby mu może w pełni nowymi oczyma spojrzeć na dzień dzisiejszy i zamknąć go w czystych poetyckich strofach, Stachowski w tragiczny sposób ginie.

Ośmielam się twierdzić, że jest to obok Józefa Czechowicza i Stanisława Rogowskiego jedna z najboleśniejszych strat, jakie poniosła w okresie wojennym przemawiająca w żywy sposób liryka polska.

Ryszard Matuszewski

PRZEGLĄD MUZYCZNY

Największym wydarzeniem w życiu muzycznym Krakowa, wydarzeniem sięgającym poza ramy lokalne, było pojawienie się w programie Filharmonii krakowskiej dwóch nowych dzieł symfonicznych polskich: były to poemat symfoniczny **Jana Maklakiewicza** „Grunwald" i **Piotra Perkowskiego** „Kościół Panny Marii" ze „Szkiców toruńskich".

„Grunwald" Maklakiewicza powstał podczas wojny. Jest to kompozycja programowa oparta o głębokie przeżycie społeczne. Wyraził w niej twórca to wszystko, co jako przeżycie zbiorowe ciężkich lat ostatnich znalazło odbicie w jego jednostkowej psychice artysty. Szczerość i bezpośredniość są najistotniejszą cechą tego utworu, jak zresztą całej dotychczasowej twórczości Maklakiewicza. Ona gwarantuje też wszystkie najbardziej dodatnie cechy utworu, łatwość i płynność inwencji muzycznej, plastykę motywów i sugestywność, mocny kościec treści muzycznej. Z niej płyną równocześnie i pewne niedociągnięcia formalnej natury: nierówność i nie dość przekonywające planowanie konstrukcji muzycznej na dalszą metę. Ciekawe zagadnienie przedstawia sama instrumentacja „Grunwaldu". W założeniu kompozytora leżało niewątpliwie podkreślić podkład ideowy instrumentacją ciężką, masywną w oparciu o potężną dynamikę. Nie można też zaprzeczyć, że spełnia ona tu w zasadzie swoje zadanie. Czy jednak celu tego nie dałoby się osiągnąć instrumentacją bardziej współczesną, rozdzielającą raczej poszczególne plamy instrumentalne — to rzecz do dyskusji.

W zupełnie odrębny świat muzyczny wprowadza nas Perkowski w swych „Szkicach toruńskich". Atmosfera ciszy i skupienia — nawet w chwilach akcentów bardziej dramatycznych cała dynamika przeniesiona na grunt raczej indywidualnych przeżyć wewnętrznych. Punkt ciężkości utworu leży nie tyle w samej motywice muzycznej, ile w subtelnym operowaniu kolorem orkiestralnym. W tej sztuce nakładania barw i opanowania roboty motywicznej upatrywać też należy główny urok „Szkiców toruńskich".

Dopełnienie programu stanowiły „Step" **Noskowskiego** (na pochwałę orkiestry podnieść należy ładne brzmienie zwłaszcza pierwszej części) i koncert skrzypcowy **Karłowicza,** wykonany przez **Irenę Dubiską** ze zwykłą u tej artystki muzykalnością i inteligencją oraz opanowaniem technicznym. Dyrygował **Zygmunt Latoszewski.**

Na niedzielnym poranku filharmonicznym poznaliśmy młodego kapelmistrza warszawskiego **Tadeusza Wilczaka,** który sprawnie i muzykalnie poprowadził Rossiniego uwerturę „Sroka-złodziej" i IV Symfonię Dworzaka. W koncercie tym odegrała **Olga Martusiewicz** koncert fortepianowy Rachmaninowa c-moll; gra jej, technicznie na bardzo dobrym poziomie, nie miała jednak wymaganego przez utwór liryzmu, fortepian brzmiał za mało soczyście i często za słabo (w czym dużą winę ponosi i sama instrumentacja).

Bardzo dobrze zaprezentował się na swym recitalu skrzypcowym **Stanisław Tawroszewicz.** Ładny, czysty, równy ton, precyzja techniczna i powaga podejścia charakteryzują go jako wybitnego skrzypka. **Maria Bilińska-Riegerowa** przy fortepianie wywiązała się doskonale ze swego zadania, zwłaszcza w odpowiedzialnej partii sonaty Cezara Francka.

Stefania Łobaczewska

Pisarze francuscy w walce o wolność ojczyzny

Nadchodzą pierwsze wiadomości o życiu literackim i artystycznym w wolnej Francji. Wiadomości te jeszcze nie są dokładne i nie dają pełnego obrazu przemian kulturalnych, jakie zaszły i zachodzą w społeczności francuskiej. Dla Polaków jednak, związanych od dawna z kulturą francuską, będą miały znaczenie jako pierwsza informacja.

Wszystkie czasopisma i gazety, które współpracowały z rządem Vichy i z Niemcami, zostały zakazane. Nawet ich tytuły zostały zabronione. Tak więc znikł czcigodny „Temps", skostniały protoplasta prasy mieszczańskiej, oraz „Journal des Débats", równie dostojna gazeta, obydwie za dawnych czasów będące przytułkiem liberalnej myśli, a później żyjące z łaski trustów i faszyzmu. „L'Action Française", „L'Ouevre", „Matin", „Paris-Soir", „Journal" skończyły równie haniebnie. Podobny los spotkał organ rojalistów „Revue Universelle" oraz „Nouvelle Revue Française", która na skutek słabości wydawcy przeszła w roku 1940 na służbę propagandy niemieckiej.

Czasopismo literackie, które pierwsze pojawiło się po wyzwoleniu Paryża, nosi tytuł „Les Lettres Françaises". Pismo to pojawiało się nielegalnie pod okupacją niemiecką. Założycielem tego pisma był Jacques Decour którego Niemcy rozstrzelali w roku 1942 razem z jego dwoma pierwszymi współpracownikami, filozofem Politzerem, będącym równocześnie redaktorem podziemnej „Humanité", i fizykiem Jacques Solomonem, zięciem wielkiego uczonego Langevin. Decour — jego prawdziwe nazwisko brzmi Decourdemanche — był młodym, wybitnym intelektualistą komunistycznym. Specjalnością jego była literatura niemiecka. Niemcy zamordowali nie tylko patriotę francuskiego, ale tłumacza Goethego.

Tygodnik „Les Lettres Françaises" jest organem Komitetu Narodowego Pisarzy Francuskich. Zakładając bowiem to pismo jeszcze w podziemiu Jacques Decour stworzył równocześnie razem z Jean Paulhanem na terenie okupowanej Francji nielegalny Komitet Narodowy Pisarzy Francuskich. Komitet rozwijał się szybko. W krótkim czasie pozyskał katolickiego powieściopisarza François Mauriaka, Georges Duhamela, poetę Paul Eluarda, młodego powieściopisarza i filozofa Jean Paul Sartre'a.

Na południu Francji Komitet powstał dopiero w roku 1943, gdy Niemcy okupowali niezajętą dotychczas część Francji. Należeli do niego Aragon, Roger Martin du Gard, Jean Cassou i inni.

Obydwa odłamy Komitetu, północny i południowy, zjednoczyły się po raz pierwszy 4 września 1944 r. w Paryżu. Do Komitetu prócz wymienionych należeli też Romain Rolland i Vildrac.

Romain Rolland, który wojnę spędził w miejscowości Vézeley, zmarł w końcu grudnia 1944 r.

Charles Vildrac zbiegł najpierw do nieokupowanej Francji, wkrótce jednak powrócił do Paryża, gdzie w roku 1943 został aresztowany za rozprzestrzenianie nielegalnej literatury.

Po śmierci Jacques Decoura wydawnictwo nielegalnych „Lettres Françaises" objął Claude Morgan. Pod tym pseudonimem kryje się syn sędziwego powieściopisarza i członka Akademii Georges Locomte'a. Dawniej Morgan był zawodowym dziennikarzem, jednym z współpracowników gazety „Ce soir", redagowanej przez Aragona i Jean-Richarda Blocha.

W podziemnej redakcji „Lettres Françaises" najbliższym współpracownikiem Morgana był Jean Paulhan, naczelny redaktor „Nouvelle Revue Française", zanim stała się organem hitlerowskim. Paulhan był jednym z głównych filarów ruchu oporu w kołach literackich. Założył wydawnictwo „Editions de Minuit", gdzie ukazały się różne nielegalne publikacje literackie, m. in. reportaże pisarki Edith Thomas o francuskim ruchu partyzanckim tzw. maquis i poezje Aragona „Musée Grévin", wydane pod pseudonimem „François la Colère".

*

Aragon stał się najwybitniejszą postacią francuskiej literatury patriotycznej. W r. 1939 został zmobilizowany jako lekarz. Przez cały czas był osaczony przez szpiclów i prowokatorów, nasłanych przez rząd Daladiera. Godne zachowanie się Aragona zyskało mu uznanie kilku oficerów zawodowych, nie dających się powodować machinacjami policyjnymi. W maju i czerwcu 1940 Aragon wziął udział w walkach w Belgii. Za odwagę na polu boju zdobył najwyższe odznaczenia wojskowe.

W tym czasie zaczął Aragon w organie poetów frontowych („Poésie 1940") ogłaszać swoje pierwsze poezje wojenne, które zdobyły mu powszechne uznanie. Pod okupacją Niemcy zabronili sprzedaży jego pierwszego tomu wierszy „Le crève-coeur", który drukowany w Anglii i Szwajcarii był we Francji potajemnie kolportowany. Podobnie rzecz się miała z jego dalszymi zbiorkami „Les Yeux d'Elsa" i „France, écoute!" Doskonałe w formie, potężne w wyrazie wiersze Aragona wyraziły cierpienia i nadzieje ludu francuskiego.

Jeden z komunikatów partyzantów z rejonu Alp wymienia Aragona jako tego pisarza, który podtrzymywał ducha wśród maquis. Od chwili wyzwolenia Paryża Aragon stoi na czele francuskiego życia literackiego.

*

Należy tu wymienić trzech pisarzy, którzy zamienili pióro na rewolwer. Jean Prévost, oficer pewnego oddziału partyzanckiego w Alpach, został w roku 1944 schwytany i rozstrzelany. Jean Prévost poświęcał się różnym gatunkom literackim, nie zdecydował się na żaden, w każdym pozostawił cechy swego talentu. Podczas wojny napisał pracę doktorską o Stendhalu, został mianowany przez rząd Vichy profesorem na uniwersytecie w Lyonie. Nie przeszkodziło mu to chwycić za karabin. Zginął jak bohater.

Gabriel Chevalier pochodzi również z Lyonu. Był uczestnikiem pierwszej wojny światowej. Jest autorem książki wojennej „Strach". Popularność zdobyła mu powieść „Clochemerle". Pod imieniem „Kapitana Krzysztofa" Chevalier stał się organizatorem partyzantów w Masywie Centralnym.

André Malraux kształcił się właśnie na oficera wojsk pancernych, gdy nastąpiła katastrofa 1940 r. Szkoła oficerska, w której był Malraux, została otoczona. Wywiązała się walka; Malraux został lekko ranny i dostał się do niewoli. Z niewoli wkrótce uciekł i udał się do Francji południowej, gdzie napisał powieść „Walka z aniołem", która ukazała się w r. 1943 w Lozannie. W południowych rejonach Francji Malraux organizował zbrojne oddziały do walki z Niemcami. Aby zapewnić oddziałom dostawę broni, Malraux wszedł w kontakt z tajnym wywiadem angielskim. Oddziały otrzymywały broń za pomocą spadochronów. Malraux opowiada sam, jak wykonując pewne zadanie został ranny w towarzystwie agentów brytyjskich. Dostał się do niewoli. Od śmierci uratowało go to, że podał się za oficera angielskiego. Przewieziono go do Paryża, skąd uciekł i znowu udał się do Francji południowej. Pod imieniem „Kapitana Bergera" zorganizował oddziały partyzanckie w Alzacji i Lotaryngii i w czerwcu—lipcu 1944, podczas lądowania aliantów w Normandii, w trzech departamentach wiązał dywizję pancerną „Reich". W ostatnich walkach z Niemcami Malraux brał udział jako dzielny dowódca brygady alzacko-lotaryńskiej.

*

Pisarz Jean Cassou, zdecydowany obrońca republiki hiszpańskiej i bezkompromisowy wróg „monachijczyków", został redaktorem naczelnym miesięcznika „Europe", gdy Jean Guehenno, jego dotychczasowy redaktor, zadeklarował się jako zwolennik „monachijczyków" i musiał ustąpić z tego stanowiska. Na żądanie gen. Franco Cassou został w r. 1942 przez rząd Vichy aresztowany; przebywał w więzieniu do r. 1944 w Tuluzie. Uniknął śmierci tylko cudem. Obecny rząd francuski powierzył mu wysokie funkcje administracyjne.

Krytyka Benjamina Cremieux Niemcy rozstrzelali. Poeta Max Jacob zginął w obozie koncentracyjnym.

Jean Guehenno przeszedł pewną ewolucję. Był współpracownikiem nielegalnej „Lettres Françaises". Obecnie w Paryżu jest stałym współpracownikiem naczelnego organu partii socjalistycznej „Populaire".

Członkami Narodowego Komitetu Pisarzy Francuskich i redakcji nielegalnej „Lettres Françaises" byli również: Claude Aveline, dziennikarze André Viollis, Colette Duval, Georges Sadoul, powieściopisarze Alexandre Arnoux Blanzat, Pierre Bost, pisarz murzyński René Maran, krytyk André Rousseaux, historyk literatury Paul Bazard, nawróceni faszyści jak bracia Tharaud, dominikanin ksiądz Midieu, a przede wszystkim wybitny poeta Paul Eluard, który był jednym z najbardziej bezkompromisowych i odważnych uczestników ruchu oporu.

Léon Moussing został w marcu 1940 r. aresztowany na rozkaz Daladiera, przebył całą wojnę w obozie koncentracyjnym i więzieniu.

Roger Martin du Gard odrzucił propozycję współpracy z rządem Vichy. Przez cały okres okupacyjny zachował milczenie, należał jednak do Komitetu Narodowego Pisarzy Francuskich i do redakcji podziemnej „Lettres Françaises".

Paul Claudel był początkowo zwolennikiem Pétaina. Zerwał z nim w związku z antysemickimi zarządzeniami rządu Vichy i napisał wiele pięknych wierszy patriotycznych.

Georges Duhamel pozostał wierny swojej postawie antyfaszystowskiej i antyhitlerowskiej.

Paul Valéry początkowo współpracował z „Nouvelle Revue Française", gdy pismo to stało się organem hitlerowskim. Skłonił go do tego przykład André Gide'a.

W ruchu oporu brali jeszcze udział literaci: powieściopisarz Emmanuel Bove, który opublikował szereg wstrząsających opowiadań o prześladowaniach policyjnych rządu Vichy, dziennikarz i powieściopisarz Joseph Kessel, którego powieść o walce podziemnej „Armia cieni" zwróciła uwagę we Francji i Stanach Zjednoczonych.

Pisarz katolicki François Mauriac, który pod okupacją był jednym z pierwszych członków Komitetu Narodowego Pisarzy, jest dziś razem z Joliot-Curie jednym z przywódców „Frontu Narodowego" i razem z Picasso, jedną z kierowniczych osobistości w Komitecie Pomocy Ofiarom Hiszpańskiego Faszyzmu.

*

Za granicą znajdowało się wielu francuskich pisarzy antyfaszystowskich. Jules Romains, André Breton i André Maurois nie zawsze zajmowali wyraźne stanowisko. Wybitny powieściopisarz katolicki Georges Bernanos opuścił Europę po Monachium, aby „nie brać udziału w życiu kontynentu, który zrezygnował z honoru". Również przeciw rządowi Vichy i przeciw faszyzmowi występował katolicki pisarz Jacques Maritain. W Szwajcarii poeta Pierre-Jean Jouve tworzył poematy pełne gorącej miłości do swobody i nienawiści do tyranów.

Pisarze francuscy wydali pod okupacją zbiorowy tom swoich utworów (oczywiście anonimowo) pt. „Honor poetów".

*

Komitet Narodowy Pisarzy Francuskich opublikował listę tych literatów, którzy zdradzili ojczyznę i poszli na współpracę z wrogiem. Są na niej: Montherlant, Celine, Jean Giono, Paul Morand, Drieu la Rochelle, André Therive, A. de Chateaubriant, Jouhandeau, Charles Maurras, Chardonne, Armand Petitjean, André Salmon, André Billy, Brasillach, Sacha Guitry, Henri Beraud, Jean Cocteau...

Prohitlerowski pisarz Georges Suarez został przez sąd skazany na śmierć i stracony.

Trwają procesy przeciw innym (Henri Beraud, Maurras, Pierre Benoit).

(Według art. J. R. Blocha w „Internazionale Literatur", Deutsche Blätter, Moskwa).

W OCZACH PISARZY *)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

WSPÓLNY WYSIŁEK

Na kilkanaście dni przed wypowiedzeniem wojny byłam w Kownie. Chciano wówczas naprędce zawiązać przyjazne stosunki Polski z Litwą.

Wybrano do tego literatów. Byliśmy pierwsi, którzy się chętnie przeprowadzenia tej ugody podjęli. Koledzy Litwini i osoby oficjalne witali nas entuzjastycznie, ale były też niemiłe incydenty.

Porozumienie intelektualne, jak zwykle w podobnych imprezach, ukrywało się w nurcie przyjęć i rautów. Na pewnym bankiecie siedziałam przy pośle litewskim, ministrze pełnomocnym, o ile sobie przypominam akredytowanym przy jednym z państw bałkańskich.

Spytałam go, czy i on uważa Niemców za niebezpiecznych wrogów? Spotkałam się z odpowiedzią, wówczas nieoczekiwaną. Według jego zdania, Niemcy, jeśli wybuchnie wojna, zostaną pokonane i nie odegrają roli w układzie Europy. W bieg wojennych wypadków włączona zostanie Rosja i jej stanowisko przyczyni się do dobrych, sąsiedzkich stosunków mniejszych narodów.

Istniało jeszcze wówczas powszechne przekonanie, że Związek S. R. R. nie będzie się mieszał do konfliktu międzynarodowego. Odpowiedź ta stała się dla mnie w pewnym stopniu nowością i prawdą, w którą nikt z otoczenia w r. 1939 nie wierzył.

Wkrótce wróciłam do Warszawy. We wrześniu mogłam wyjechać z Polski, będąc na linii jej granic, lecz świadomie nie zrobiłam tego. Uważałam, że obowiązywało wielu i mnie zostać, dzielić ciężki los kraju. Przez owe surowe lata byłam okresami na wsi i w Warszawie.

Mimo wszystkich porażek i strat, mimo że jestem jak drzewo, któremu po kolei odrąbywano gałęzie osób drogich i spalono dom, chociaż teraz bywa się wszędzie po zagładzie Warszawy — wędrowcem we własnym kraju — nie żałuję ani na chwilę mojego wyboru.

Zdobywa się pewne prawdy, osiągnięcia, ostateczne mety, w ogniu najcięższych przeżyć, własnych i cudzych. Gdy przemoc zła jest pokonana, musimy inaczej spojrzeć na świat, kiedy najgorsze, które zagrażało współżyciu zgodnemu z sobą narodów minęło, trzeba podjąć wspólny wysiłek w budowaniu **jedności** i sprawiedliwego układu sił, praw, dróg rozwoju.

Mnie, i jak sądzę, wielu ludzi, wojna nauczyła dużo. Nawet piękno i szczęście zobaczyć inaczej.

Mały przykład osobisty. Niech mnie nikt źle nie zrozumie — to nie było pogodzenie się ze złem — lecz powiem: najpiękniejszą chwilę mojego życia przeżyłam w obozie, na tak zwanym „zieleniaku", wobec największej klęski własnej i jak wówczas sądziłam i Polski, w straszną noc, gdy rankiem miałam umrzeć.

Naturalnie były to krótkie momenty, gdy tak czułam w obliczu nocy cudownej od kolorowych nad głową pocisków, wobec koczującego tysiącznego tłumu, przy okrzykach śmiertelnego strachu, otoczona cezarycznymi łunami miasta, a o krok od własnej, niechcianej śmierci.

Wydaje mi się, że szczęście mierzy się napięciem przeżycia, jego ciśnieniem, patosem prawie. Uczuciem maksymalności, że nic więcej z siebie człowiek dać nie może, że to jest zenit jego wytrzymałości, potem i to, **że się sobą czuje wszystkich,** obok podobnie myślących, jest się **jednością,** siłą zbiorowego, milczącego wyrazu. Nie było w tym nic pychy, że się umiera w imię celu, wszelki okrzyk, gest, wydawał się teatralny, wobec spraw wiecznych i pytania, kim się będzie, gdy pozbawią nas instrumentu percepcji świata — ciała.

Kto parokrotnie umierał, nie łatwo zostaje później całkowicie żywym. Afirmując to, co nas otacza, wielu jeszcze ludzi nie umie zbudzić się do nowych zadań życia. Ludzie ci potrzebują czasu, ażeby na nowo dawać z siebie wiele.

Podczas wojny pisałam dużo i systematycznie. Książki sprzedane wydawcom, jak powieść **„Ukryci"** i rzecz z pobytu w Ameryce pt. **„Gałęzie jednego drzewa"**, częściowo ocalało także parę opowiadań. Sztukę **„Dom w obłokach"**, powieść **„W cieniu prawdy"**, tom o „Ziemi Podlaskiej" pisany w Repkach i wiele innych — przykryły gruzy.

Obecnie rekonstruuję rzeczy zaginione i planuję nowe. Uzupełniam materiały do biograficznych wspomnień o Karolu Irzykowskim, obmyślam aktualną sztukę.

Studiuję pewien teren kaźni niemieckiej, z obozu tego piszę książkę.

Halina M. Dąbrowolska

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, T. Brezy, J. Brzostowskiej, T. Czyżewskiego, M. Jastruna, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, H. Wielowieyskiej, E. Szelburg-Zarembiny i J. Zawieyskiego w nr nr 19—27 „Odrodzenia".

POECI LUBELSCY

Wybór wierszy poetów lubelskich. Lublin, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1945; str. 31 i 1 nlb.

Geografia poetycka dwudziestolecia międzywojennego, zwłaszcza jego drugiej połowy, ułożyła się w kształt nieznanego dotąd trójkąta. Jego wierzchołki przypadły bynajmniej nie na główne ośrodki ówczesnego życia literackiego. Były tymi wierzchołkami Wilno żagarystów, Lublin Czechowicza i Łobodowskiego, Łódź Tuwima, Piechala i Karpińskiego. Z tego zespołu jeden tylko kąt owocuje nadal poezją: oto grupa młodych poetów lubelskich wystąpiła ze wspólną antologią swoich utworów.

Jest coś wzruszającego w widoku tej garstki poetów, którzy w najbardziej gnębionej prowincji naszej przechowali kruche naczynie poezji. Takie bowiem jest ich naczynie i mieści w sobie wszystkie przedwojenne właściwości lubelskiego kąta: skłonność do sielanki, do swojskiego (przeważnie opanowanego w wyrazie) sentymentu, do zapatrzenia się w jedną tylko odmianę obrazów: „Lipy w ramiona chude miękko objęły biały kościół". Wszystko to, jeżeli nie z formy samej, to na pewno jest z ducha Czechowicza i — jego słabości. Wiele u tego poety z nutek Lenartowicza; młodzi lubelscy zamiast wyjść poza sugestię tych nutek, wracają do nich, ustawiają siebie niżej osiągniętego już ogniwa. Dlatego ich poezja czyni wrażenie ucieczki przed rzeczywistością zbyt potworną, ale ucieczki w co? — w rysunek piórkiem na glinianej skorupce. Czyni wrażenie obrony już nie tego, czy owego stanowiska, ale samego prawa do poezji. Te kryształki wypracowane są pod dociskiem niesamowitych atmosfer. Dlatego też są w tej poezji akcenty, które zrozumieć możemy tylko uwzględniając, że powstały pod piórem kobiety i w mieście najbardziej sterroryzowanym: słowa Kamieńskiej o sile, która jest rzekomo „bezowocna, próżna, daremna".

Wobec niewielkiej ilości podanych wierszy i zasadniczego podobieństwa całego zespołu, dosyć trudno określić poszczególne indywidualności. Najłatwiej Jerzego Pleśniarowicza i Igora Sikiryckiego. Pamiętany sprzed wojny Pleśniarowicz stoi w miejscu. Ciągłe echo formalne Czechowicza, przez które nie przedziera się jego głos własny. Proza wątpliwa, choć w innym typie. Sikirycki jedyny posiada [illegible] szorstkość wyrazu.

Niewątpliwie najbardziej wypracowana w zbiorze jest proza poetycka Julii Hartwig. Jej „pejzaże" odznaczają się dużą konsekwencją w doborze i stopniowaniu obrazów, niespodziewane sploty obserwacji są trafne. Jest to jednak wartość tylko jakiejś abstrakcyjnej miniatury poza czasem. Gatunek niebezpieczny i zamiast zamierzonej subtelności, chwilami — filuterny, wbrew intencjom autorki. „O istnieniu upewnia cię oddech matowiący na chwilę szybki. Podobny jest do podziwu". To mało.

Znacznie więcej nierówności (obok wstępnych wypracowań taki wiersz jak „Wiosna 1942") wykazują liryki Anny Kamieńskiej. Jest w nich jednak umiejętność wejścia w różny styl, to zabawnego persyflażu („Sielanka"), to oryginalnej notatki krajobrazowej. Przed poetką otwierają się różne ścieżki, byle nie wybrała chodzenia (nawet w zabawie) za „osiołkami wiosennych pożądań", byle jej nie imponowała „woń duchowa".

Najtrudniej wyodrębnić Zygmunta Mikulskiego od Zbigniewa Piotrowskiego, chociaż obydwaj są odrębni na tle swoich towarzyszy w zbiorze. Obydwaj przedstawiają ten sam etap docierania do własnego wyrazu i — nie dotarcia jeszcze. Jedynie „Ballada" Mikulskiego wychodzi po za to szukanie. Wreszcie liryki Stanisławy Zakrzewskiej. Bardzo kobiece, bo zawsze (jak autorka pisze) „troszeńkę" tęsknoty to za Hożą, to za tym jedynym, z którym trzeba umrzeć w jednej i tej samej chwili. Więcej dostrzec trudno. Gdy z tego szczupłego zbioru wyłoni się kilka odrębnych tomików poezji, dostrzeżemy zapewne więcej, tak u Zakrzewskiej, jak jej towarzyszy.

Kazimierz Wyka

PRZEGLĄD PRASY

W numerze 9-tym **„Tygodnika Powszechnego"** ukazał się obszerny artykuł **Stefana Kisielewskiego** pt. „Tematy wojenne". Autor porusza najważniejszy problem literatury dni obecnych w sposób jaskrawo sprzeczny z rozsądkiem i daje się nam poznać, jako klasyczny okaz „zaciemniacza" zagadnień, używając z pozorną rzeczowością stwierdzeń nieprawdziwych. Problem Kisielewski streszcza w dwóch pytaniach:

„1) czy dzisiejszy czytelnik pragnie lektury, przedstawiającej mu ciągle straszliwe czasy wojny i terroru, któreśmy przeżyli, 2) czy dostarczanie mu takiej lektury jest potrzebne i korzystne ze względów wychowawczych lub moralnych?"

Sformułowanie z gruntu fałszywe w założeniu. Słówkiem „ciągle" w pierwszym pytaniu autor ułatwia sobie sprawę i z miejsca wykrzywia sens zagadnienia, czyniąc z niego donkichotowski wiatrak, z którym walczyć nie ma celu. Jasne bowiem, że nikt nie pragnie „ciągle" czytać straszliwych opisów wojny i terroru i nikomu zapewne to nie grozi; w chwili obecnej nie upływa więcej niż cztery miesiące od momentu, w którym literatura uzyskała swobodę wyrazu po owych strasznych czasach. A więc co właściwie usprawiedliwia lęki autora przed nieustannością tematyki Oświęcimia czy Majdanka?

Ale co gorsza, w swych nerwowych obawach o losy literatury, Kisielewski usiłuje roztoczyć opiekę nad czytelnikiem i oto, jak to czyni:

„Olbrzymie w czasie wojny powodzenie książek takich jak „Rodzina Whiteoaków", „Antoni Adverse", „Przeminęło z wiatrem", ma swoją wymowę. Czytelnik szuka w nich odmiennej niż nasza atmosfery, atmosfery swobody i godności, humoru, dobrodusznej mądrości i równowagi — a więc atmosfery przeciwnej do tej, którą miał naokoło siebie. Nie zgodzę się z Kazimierzem Wyką, że powodzenie „Przeminęło z wiatrem" wynika wyłącznie z analogii wypadków wojennych, opisanych w tej książce, do naszych czasów. Owszem, analogia ta pobudza zainteresowanie czytelników, ale główne działanie książki polega właśnie na tym, że opisuje wypadki podobne do naszych w sposób odmienny, nie patetyczny, zrównoważony, pełen żartobliwej pobłażliwości... Innego rodzaju odprężenie daje również Proust. Wbrew sugestiom Jana Kotta stwierdzić trzeba, że popularność Prousta w czasie wojny osiągnęła u nas zupełnie niespodziewane rozmiary. Prousta, lekturę przecież wyrafinowaną i trudną czytali ludzie o zupełnie przeciętnym poziomie intelektualnym, i to czytali po całych dniach z wypiekami na twarzy, w każdej wolnej chwili, zagłębiając się w tej lekturze, jak w dziwnej i podniecającej kąpieli".

Pomijając domysły, w jakich kąpielach literackich zagłębiał się autor artykułu, należy zauważyć, że powodzenie „Rodziny Whiteoaków", „Antoniego Adverse", „Przeminęło z wiatrem", ma tylko tę wymowę, że czytelnik szukał w tych powieściach niekoniecznie „atmosfery swobody i godności, humoru, dobrodusznej mądrości i równowagi", ale po prostu lektury łatwej, przystępnej, obfitej w wrażenia dość odległe od przeżyć estetycznych najwyższej próby. Poczytność tych utworów sięga czasów przedwojennych, a więc autor twierdząc, że

„W książkach takich czytelnik szukał odprężenia, odpoczynku od otaczającej go potwornej, beznadziejnej ohydy niemczyzny z jednej strony, i od patetyczno-desperackiej żarliwości konspiracyjnej — z drugiej"

popełnia nieścisłość. Te książki zawsze czytało się w Polsce chętnie i łatwo, podobnie jak chętnie i łatwo czytało się powieści Dołęgi-Mostowicza, czy w swoim czasie Rodziewiczówny i gdyby autor policzył „wypieki" wzbudzane przez ten gatunek literacki na rynku czytelniczym w Polsce — uznałby zapewne swe sugestie na temat lektury Prousta za nieco przesadzone. W powyższym świetle twierdzenie, że:

„...właściwy instynkt masy odbiorców winien w tym wypadku wskazać „drogę twórcom"

wydaje się rażąco niesłuszne. Bo w każdym wypadku instynkt twórcy powinien kształtować przeżycia mas odbiorców, a nie odwrotnie. Przecież sam autor pisze w tym samym artykule o

„zasadniczej roli pisarza, którą jest wychowywać, oświetlać rzeczywistość w sposób właściwy, ukazywać prawdę — moralną i intelektualną".

Gdzież więc zdrowy sens?

W dalszym ciągu Kisielewski ukazuje się nam, jako zdecydowany przeciwnik realistyki okupacyjnej, suponując, że:

„dokładny opis tortur... będzie zawsze opisem wstrząsającym lub przygnębiającym, zwłaszcza dla ludzi, którzy sami to przeżyli, ale czy będzie to działanie artystyczne? Na pewno nie! Sztuka apeluje do rzeczy wiecznych, zrozumiałych nie tylko dla jednego pokolenia. Wypadki dnia dzisiejszego nie mają dostatecznej perspektywy, aby zawrzeć je w dziele sztuki..."

i jako zwolennik literatury sielankowej:

„Żyliśmy pięć lat w atmosferze przemocy, gwałtu i zbrodni. Czy przedstawienie tego w formie sugestywnej, przypominanie, powtarzanie, pokazywanie jest rzeczywiście dla społeczeństwa korzystne? Czy należy oswajać się ze zbrodnią czy też raczej zapomnieć o niej i powrócić do normalnych, zdrowych stosunków międzyludzkich. Czy czytelnik, który zamiast książki o Majdanku woli czytać pogodny i dobroduszny „Klub Pickwicka", wykazuje tym tylko tchórzostwo i chęć ucieczki od życia, czy też może zdrowy instynkt moralny, który każe mu odwrócić oczy od gnijącego śmietnika, a zwrócić je w stronę obrazu pogody i czystości".

W ciągu czterech miesięcy wolności od terroru artystyczne piśmiennictwo polskie objawiło pierwsze próby pióra, związane rzecz prosta z wydarzeniami okresu, w którym było zdławione. Są to owoce przeżyć — zgódźmy się — niecodziennych, notowanych doraźnie, dorywczo, nieraz „na gorąco", mające czasem na oku raczej świadectwo prawdy, niż cel artystyczny w najczystszym znaczeniu. Ten okres twórczości był i będzie przez czas jakiś jeszcze — nieunikniony; nie ma napewno na świecie organizacji duchowej tak odpornej na presję zjawisk zewnętrznych, aby mogła pominąć w pierwszym swobodnym wyrazie artystycznym potworną grozę doznań, przeżytą w największej katastrofie człowieka na ziemi. Naród, któryby w tym pierwszym okresie wolności, po najczarniejszej nocy zbrodni i upadku, zechciał wydać z siebie literaturę Pickwicków, Whiteoaków, czy Guermantes'ów — musiałby być uznany za naród szaleńców. Ale świadomość twórcza i instynkt, o którym wspomina Kisielewski, wskazują pisarzom najlepszy kierunek: twórczość artystyczna nieraz długo i mozolnie musi żłobić sobie drogę, zanim rozleje się w szerokie łożysko wielkiej sztuki. A więc teoretykom dla pamięci stare przysłowie: „Nie pchaj rzeki — sama płynie".

(k b)

Straty kultury polskiej we Wrocławiu

Wrocław, przez pięć lat wojny oszczędzany przez wojnę lotniczą, jedno z niewielu miast w Rzeszy, gdzie do stycznia 1945 r. życie przebiegało prawie normalnie, potwornemu uległ zniszczeniu w ostatnim akcie wojny. Zniszczenie to szczególnie dotknęło muzea, archiwa, biblioteki i wyższe zakłady naukowe tego miasta, mieszczące się przeważnie w unicestwionym całkowicie śródmieściu.

Wszystkie te instytucje naukowo-kulturalne zawierały bezcenne zbiory, związane z historią i kulturą Dolnego Śląska i Polski, wskutek olbrzymich utrudnień ze strony władz niemieckich prawie nie wyzyskane przez naukę polską. Tak, jak w innych miastach Niemiec, istniały części zbiorów archiwalnych i bibliotek, do których pod żadnym pozorem nie mieli dostępu cudzoziemcy. Dziś, kiedy polscy uczeni organizują życie naukowe powróconego Polsce Wrocławia, zdają sobie dobrze sprawę ze stanu zasobów naukowych i kulturalnych tego miasta, w którym według zdania przewodniczącego komisji naukowej ministerstwa oświaty za cztery miesiące rozpocząć ma pracę polski uniwersytet.

Uniwersytet wrocławski był jednym z większych wyższych zakładów naukowych na terenie b. Niemiec i składał się z pięciowydziałowego uniwersytetu, politechniki i akademii handlowej i rolniczej. Doskonale wyposażony i zajmujący 80 budynków, gdyby zachował się w stanie pierwotnym, byłby największym uniwersytetem w Polsce. Niestety, poniósł on wysokie straty, sięgające w budynkach 60 %, w inwentarzu ok. 50 %. Stosunkowo najlepiej z opresji wojennych wyszła politechnika i wydział medyczny uniwersytetu, które też najpierw mają być uruchomione. Wyposażenie politechniki i klinik medycznych jest bardzo wysokie. Pewne, choć niezbyt poważne straty, poniosły zakłady medycyny teoretycznej. Ocalały także biblioteki wydziałów prawnego i teologicznego. Największe straty poniosła humanistyka i wydział matematyczno-przyrodniczy, gdzie wszystkie prawie zakłady i biblioteki leżą w gruzach.

Biblioteka uniwersytecka, połączona we Wrocławiu z biblioteką państwową, założoną w r. 1811, zawierającą zbiory dawnego kolegium jezuickiego i zbiory uniwersytetu frankfurckiego, spłonęła. W podziemiach jej mieściło się dowództwo obrony Wrocławia. Blisko połowę zbiorów, w tym prawdopodobnie cenne polonica (kilkadziesiąt kronik śląskich z XV—XVIII w., czternastowieczne rękopisy i polskie druki z XVI w.), wywieziono na kilka miesięcy przed oblężeniem do któregoś z zamków dolnośląskich. 300.000 tomów już w czasie walk przeniesiono do mieszczących się w pobliżu: domu akademickiego i kościółka św. Anny, gdzie spłonęły po kapitulacji w naszych oczach. Akcja ratunkowa była niemożliwa, ze względu na wybuchy amunicji, przechowywanej w podziemiach tych gmachów.

Cudem natomiast ocalała biblioteka miejska, licząca ponad 200.000 tomów, której początek dały zbiory patrycjusza wrocławskiego z XVI w. Rehdigera i dawna biblicteka ratuszowa. Biblioteka ta zawierała m. in. 600 inkunabułów, 3.000 rękopisów średniowiecznych, bezpośrednio związanych z Polską, kroniki śląskie, druki polskie z XVI w., olbrzymi zbiór rękopisów polskich kompozytorów XVII w., map i monet i pieczęci polskich i śląskich. Biblioteka ta zabezpieczona przez władze polskie, pilnowana z narażeniem życia przez polskich pracowników naukowych (w podziemiach gmachu znajdują się wielkie składy amunicji), ma być podstawą wydziału humanistycznego uniwersytetu.

Ocalała także biblioteka kapitulna o wielkich zbiorach teologicznych.

Z trzech wielkich archiwów wrocławskich zniszczone całkowicie zostało archiwum państwowe. Gmach jego znajdował się w dzielnicy miasta, gdzie podczas obrony Wrocławia, Niemcy zbudowali olbrzymie lotnisko wewnętrzne, burząc i wysadzając dynamitem w powietrze całą dzielnicę. Cenniejsza część zbiorów wywieziona została zimą tego roku poza Wrocław. Archiwum państwowe, założone w r. 1811, po kasacie zakonów na Śląsku, zawierało m. in. 30.000 dyplomów klasztorów śląskich, archiwa książąt lignickich i oleśnickich, archiwum rodziny Sobieskich, dyplomy średniowieczne w ilości 80.000 (najstarszy z r. 1175), korespondencję z XV w., listy pisane ok. 1500 r. po polsku do książąt oleśnickich, korespondencję panów polskich z książętami śląskimi w XVI w. i akta agentów austriackich w Polsce. Było to jedno z najbogatszych w polonica archiwów w całej Europie, nie wyłączając archiwów polskich.

Ocalały natomiast archiwum miejskie i archiwum diecezjalne, obficie zaopatrzone w polonica. Duża część zbiorów znajduje się poza Wrocławiem, w zamkach Dolnego Śląska.

Z czterech wielkich muzeów, najciekawsze dla polskich uczonych to muzeum sztuk stosowanych i starożytności, powstałe przy końcu ubiegłego stulecia z muzeum starożytności śląskich. Bogaty dział prehistoryczny, przeniesiony do muzeum zamkowego ocalał wraz z doskonałą biblioteką, obejmującą także polską literaturę naukową. Gmach muzeum zniszczony został kompletnie. Dział sztuki zdobniczej, zawierający eksponaty śląskiej sztuki stosowanej od XIV w., wywieziono na pogranicze śląsko-sudeckie.

Muzeum zamkowe spłonęło już po kapitulacji Wrocławia, większość zbiorów wywieziono poza miasto. Na miejscu ocalało trochę zabytkowej broni, mundurów z epoki fryderykowskiej i ceramika grecka i rzymska.

Z muzeum sztuk pięknych, którego gmach także jest zniszczony podczas walk, wszystkie cenniejsze zbiory wywieziono na południe od Wrocławia. Ocalały w mieście obrazy mistrzów wrocławskich XIX w., piękna siedemnastowieczna kopia portretu Saskil Rembrandta i biblioteka muzealna — 6.000 tomów dzieł z historii sztuki.

Muzeum diecezjalne zachowało się wraz z całą zawartością, obejmującą bogate zbiory śląskiej sztuki kościelnej.

Najdotkliwszych strat doznały zabytki architektoniczne Wrocławia, związane z historią i kulturą polską — piastowskie kościoły wrocławskie. Wszystkie one uległy zniszczeniu — najstarszy kościół św. Idziego, ufundowany w XIII w. przez Piotra Własta, powstała w polskich czasach (ok. 1250 r.) piękna katedra gotycka, kościół św. Krzyża z grobowcem Henryka IV, i płytami nagrobnymi innych książąt wrocławskich, gotycki kościół św. Wincentego, ufundowany przez Henryka IV, z pomnikiem Henryka Pobożnego, kościoły św. Macieja i Klarysek, zbudowane przez wdowę po Henryku Pobożnym, wreszcie kościół Marii Panny na Piasku z rzeźbami rodziny Piotra Własta.

Straty kultury polskiej we Wrocławiu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wojny są olbrzymie i dopiero ich wyliczenie uświadamia nam, jak bardzo to miasto, które od sześciuset lat własnymi chodziło drogami, bardzo było z nami związane. Tym niemniej, jeśli uda się zabezpieczyć to, co jest i odnaleźć to, co wywieziono, to zysk kulturalno-naukowy z powrotu Wrocławia do Polski jest wielki.

Mieczysław Wionczek

KRONIKA

Wydawnictwo moskiewskie „Pisarz Radziecki" przewiduje wydanie w roku 1945 około 100 nowych książek. Wyniesie to dwa razy więcej niż w roku ubiegłym. Znaczna część książek poświęcona bohaterskiej walce ludu radzieckiego z niemieckimi najeźdźcami. Z książek o tematach wojennych pojawią się „Opowiadania leningradzkie" N. Tichonowa, powieść A. Beka „Wołokołamska szosa", opowiadania N. Laszki „Noce rosyjskie", powieść A. Zonina „Morskie braterstwo", powieść W. Katajewa „Syn pułku", opowiadania A. Płatonowa „W stronę zachodu słońca", nowa książka opowiadań i szkiców K. Simonowa „Od morza Czarnego do morza Barentsa", powieść A. Karawajewowej „Gorące lato", W. Lebiediewa „Mleczny brzeg", W. Bachmietiewa „Szły lata", powieści F. Gładkowa, W. Kożewnikowa i inne. Z książek historycznych ukażą się: dramat Aleksego Tołstoja „Iwan Groźny", nowa powieść S. Siergiejewa-Cienskiego „Przemówiły armaty" (z cyklu „Przeobrażenie Rosji"), opowiadania S. Gołubowa „Dzielność", powieść W. Safonowa „Droga w przestrzeń", powieść o pierwszej wojnie światowej P. Zamojskiego „Młodość" i inne. Poza tym ukażą się zbiorki poetyckie, książki autorów młodych i początkujących, przekłady pisarzy bratnich republik radzieckich (ukraińskich, białoruskich, gruzińskich, tatarskich, uzbeckich, tadżyckich i in.). Z zakresu krytyki literackiej pojawią się m. in. książka W. Piercowa „Czyn i bohater" (o współczesnej prozie), A. Jegolina „Wielkie tradycje literatury rosyjskiej", L. Timofiejewa „Aleksander Błok", K. Pigariowa „Rylejew".

Książka dla dzieci. Na konkurs na najlepszą książkę dla dzieci, rozpisany przez moskiewskie Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej („Dietgiz"), nadesłano 119 rękopisów. Pierwszą nagrodę w wysokości 35 tys. rubli przyznano W. Kawierinowi za powieść „Dwaj kapitanowie", W. Katajewowi za powieść „Syn pułku", A. Kononowowi za „Opowiadania o Leninie", J. Iliinowej i J. Sigal za książkę „Jak człowiek stał się olbrzymem". Drugiej nie przyznano nikomu. Trzecią nagrodę w wysokości 10 tys. rubli otrzymali J. Iliina za powieść „Czwarte wzgórze", W. Orłow za „Opowiadania o nieuchwytnym" (literackie opowiadania o zjawiskach przyrody), S. Kowpak, Bohater Związku Radzieckiego, za opowiadania „Od Putywla do Karpat" o losach sławnego oddziału partyzanckiego, działającego na tyłach niemieckich; D. Nagiszkin za opowiadania amurskie dla małych dzieci i L. Rubinstein za powieść historyczną „Admirał Siniawin". W dziale poezji pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. Nagrodę drugą w wysokości 20 tys. rubli otrzymali: L. Kwitko za tom wierszy „Wiosna" dla dzieci w wieku przedszkolnym, A. Kuleszow (poeta białoruski) jako autor i M. Isakowski jako tłumacz za poemat „Cymbały" o białoruskich partyzantach.

Tretiakowska Galeria w Moskwie, jedna z największych galerii sztuk plastycznych, została w maju br. znowu otwarta. Galeria została zamknięta w jesieni 1941, gdy Niemcy zbliżali się pod Moskwę; zbiory jej zostały wywiezione na wschód i tam dobrze przechowane.

„Cyrano de Bergerac" po ukraińsku. Poeta ukraiński Maksym Rylski, tłumacz „Pana Tadeusza", przełożył na ukraiński tragedię Rostanda „Cyrano de Bergerac". Premiera tej sztuki w przekładzie Rylskiego odbędzie się we Lwowie. Rylski obchodził w marcu br. 50-lecie swoich urodzin.

2000-na rocznica śmierci Lukrecjusza. W roku bieżącym mija 2000 lat od dnia śmierci Lukrecjusza, wybitnego poety rzymskiego i filozofa-materialisty, autora poematu „O naturze rzeczy".

Nagroda im. Stendhala. Wydawnictwo francuskie Roberta Laffoul ustanowiło pod tą nazwą coroczną nagrodę literacką w wysokości 100.000 franków za najlepszą powieść, opowiadanie lub tom nowel. Autor nagrodzonej książki nie może mieć za sobą więcej niż dwie opublikowane prace tego gatunku literackiego. Po raz pierwszy nagroda zostanie przyznana w lutym 1946 r.

Wystawy paryskie. W Paryżu powstał żywy ruch artystyczny. W Galerie Visconti urządzili wystawę młodzi malarze (Baudoin, Bourigeaud, Burtin, Calandreau, Danise, Marcelle, Patrix, Romier, Roger, Sutter, Tristani i inni). W Galerie Couleur du Temps wystawiał J. F. Laglenne.

Kalendarz kulturalny

O wznowienie Pen-Clubu w Polsce. Grono demokratycznych pisarzy polskich podjęło inicjatywę wskrzeszenia działalności Pen-Clubu w Polsce, przerwanej wskutek wojny i okupacji. Gotowość udziału w akcji, zmierzającej do wznowienia prac polskiego oddziału międzynarodowego stowarzyszenia pisarzy, wyrazili dawni członkowie i zwolennicy idei szerzonych przez Pen-Club, między innymi: ostatpi prezes polskiego Pen-Clubu, Jan Parandowski oraz Jarosław Iwaszkiewicz, Irena Krzywicka, Zofia Nałkowska i Jan Wiktor. Tej inicjatywie grona pisarzy przyświeca chęć jak najszybszego nawiązania kontaktu zawodowego z zagranicą, którego brak dał się odczuć w ciągu lat wojennych w życiu literackim w Polsce.

W Warszawie odbyło się dn. 26 maja uroczyste otwarcie Biblioteki Publicznej w dawnym gmachu przy ul. Koszykowej 26. Otwarcie połączono z wystawą, ilustrującą dzieje książki i czytelnictwa polskiego w czasie okupacji. W dniu 1 września 1939 r. biblioteka główna liczyła 503 tys. tomów, z czego spalono lub zniszczono podczas okupacji 317 tys., wywieziono 87 tys. Stan księgozbioru w dn. 17 stycznia 1945 r. wynosił 99 tys. ocalałych z pożogi i zniszczenia książek. W początkach okupacji biblioteka, wśród olbrzymich przeciwności i utrudnień, kontynuowała działalność. W dn. 10 sierpnia 1942 r. otrzymała nakaz całkowitego przerwania pracy. Rozpoczął się wówczas okres tajnego czytelnictwa, w którym Biblioteka Publiczna umożliwiła korzystanie z książek 2 492 293 czytelnikom.

Warszawska Rada Związków Zawodowych przystąpiła do organizacji „Domu Kultury Robotniczej", którego zadaniem będzie szeroka działalność kulturalno-oświatowa wśród pracujących mas stolicy. Do współpracy w tworzeniu tego ośrodka powołano przedstawicieli Związków Zawodowych Literatów, Dziennikarzy, Artystów Plastyków i Nauczycielstwa Polskiego.

Poważny wkład do studiów nad dziejami okupacji niemieckiej w Polsce wnosi istniejące w Łodzi Centralne Zydowskie Biuro Historyczne, którego zadaniem jest gromadzenie i badanie wszelkich dokumentów, dotyczących zbrodni hitlerowskich, dokonywanych na Żydach w Polsce. Zebrano dotychczas poważną liczbę dokumentów z całego terenu kraju, pochodzących przede wszystkim z biur gestapo i „Ghettoverwaltung" oraz z obozów w Oświęcimiu, Majdanku i in. Znajdują się między nimi kartoteki niemieckie z wyszczególnieniem zrabowanych futer i kosztowności, archiwa „Judenratów" oraz dokumenty pozostałe po gminach i milicji żydowskiej, rozkazy i protokoły antyfaszystowskich organizacji bojowych, zeznania świadków zbrodni hitlerowskich itp. W skład zbiorów wchodzą dowody rzeczowe w postaci urn ze spalonymi kośćmi, powyrywanych szczęk i złotych zębów. Ważną pozycję stanowią fotografie z ghetta, obozów koncentracyjnych i akcji wysiedleńczych. Zebrane materiały stanowić będą zaczątek specjalnego muzeum. Centralne Żydowskie Biuro Historyczne posiada swe oddziały we wszystkich większych miastach polskich. Zadaniem ich jest dostarczanie materiałów centrali. W tym celu udaje się w najbliższym czasie do Berlina delegacja Biura. Przy Biurze istnieją komisje: historyczna, statystyczna, filologiczna, etnograficzna, psychologiczno-pedagogiczna i komisja badań lekarskich. Biuro posiada również bogatą bibliotekę dzieł antyżydowskich, głównie w języku niemieckim. Przygotowany już został do druku pierwszy tom prac Biura w języku polskim i żydowskim, z załącznikami, zawierającymi streszczenia w języku angielskim i francuskim. Tom ten zawierać będzie wyjaśnienia w sprawie metodyki przeprowadzonych badań, listy osób, które zginęły w obozach koncentracyjnych, zeznania świadków, pamiętniki, utwory literackie i folklorystyczne, powstałe w ghettach, słownik szyfrowanych wyrazów, używanych przez Niemców dla zamaskowania swych zbrodni itd. Tom ilustrowany będzie materiałem fotograficznym.

W Krakowie odbył się dnia 30 maja b. r. w lokalu Związku Zawodowego Literatów drugi wieczór autorski w ramach cyklu pt.: „Żywa książka", w którym udział wzięli: Anna Świrszczyńska (fragment sztuki pt. „Orfeusz" oraz utwory poetyckie) i Stanisław Piętak (nowele: „Bitwa", „U sołtysa", „Okupacja"). Słowo wstępne wygłosili: Jerzy Zawieyski i Stefan Otwinowski.

W związku z punktem 5 regulaminu konkursu na nowelę lub opowiadanie, zarząd krakowskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich wyjaśnia, że nie należy tego punktu rozumieć w ten sposób, ażeby autorowie utworów nagrodzonych bądź wyróżnionych byli zobowiązani do ich wydrukowania na łamach „Odrodzenia" lub „Twórczości". Związek, pragnąc, by utwory nagrodzone lub wyróżnione nie spoczywały w rękopisach, zapewnił sobie zgodę redakcji wymienionych pism na ich umieszczenie, żaden jednak utwór nie zostanie wydrukowany bez porozumienia z autorem. Jeśliby autorowie nagrodzeni lub wyróżnieni pragnęli swe utwory wydrukować w innych czasopismach, nie stoi to w sprzeczności z regulaminem konkursu.

Dnia 31 maja w krakowskim Klubie Literatów, skupiającym pisarzy najmłodszego pokolenia, odbył się odczyt Adama Polewki na temat „Zadań literatury w chwili obecnej". Po prelekcji uczestnicy klubu poruszyli w żywej dyskusji najistotniejsze problemy społeczne i artystyczne współczesności. Posiedzenia Klubu odbywają się co tydzień, w czwartki w lokalu Związku Zawodowego Literatów, który roztoczył opiekę nad tą grupą najmłodszych pisarzy krakowskich.

Uczniowie Studio Teatralnego przy Starym Teatrze w Krakowie uzyskali poklask publiczności krakowskiej za dowcipną parodię sztuki Jerzego Zawieyskiego „Mąż doskonały", odegraną kilkakrotnie na deskach Starego Teatru. Utwór, parodiując sztukę i inscenizacje, dyskretnie ujawnia trudne warunki materialne życia młodych adeptów sceny. Przedstawienie spotkało się z żywą sympatią widowni. Autorem tekstu jest uczeń Studia, Andrzej Szczepkowski, stronę inscenizacyjną opracowała uczestniczka wydziału reżyserskiego, Irena Babel.

9 czerwca w Teatrze Lalki i Aktora „Groteska" odbyła się premiera widowiska marionetkowego pt.: „Cyrk Tarabumba".

W Katowicach opracowany został statut Towarzystwa Przyjaciół Nauk w województwie śląsko-dąbrowskim, które w najbliższym czasie rozpocznie swą działalność. Do zadań Towarzystwa należeć będzie popieranie nauki i sztuki polskiej na ziemiach śląskich i Zagłębia przez utrzymywanie bibliotek, czytelni, pracowni naukowych, urządzanie odczytów i wykładów oraz współdziałanie w rozwoju i rozpowszechnieniu nauki i sztuki polskiej na tych terenach.

Specjalna grupa docentów wyższych uczelni wyjechała do Wrocławia, aby zabezpieczyć mienie uniwersytetu wrocławskiego. Chodzi przede wszystkim o zachowanie i roztoczenie opieki nad zbiorami i urządzeniami naukowymi, mieszczącymi się w 80 budynkach uczelni wrocławskiej.

Stworzony został Komitet Organizacyjny Uniwersytetu Śląskiego, który opracował memoriał do władz, podkreślający konieczność utworzenia uniwersytetu na Śląsku oraz wskazujący możliwości jego istnienia zarówno pod względem obsady katedr, pomocy naukowych, jak i koniecznych pomieszczeń. Na razie w projekcie jest otwarcie 4 wydziałów: medycznego, ekonomiczno-prawnego, humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego. Uniwersytet ma być uruchomiony z początkiem przyszłego roku szkolnego.

Laurowo i ciemno

„Uspokojenie" Juliusza Słowackiego

Jeden z najwspanialszych wierszy Słowackiego, wizja powstańczej Warszawy, rzucona przez poetę w nieokreśloną przyszłość, cytowana dzisiaj chętnie, deklamowana na porankach i uroczystościach narodowych jest utworem wyraźnie brulionowym. Poeta nie dokonał ostatecznego wyboru między nasuwającymi się jego wyobraźni pomysłami i zapewne odłożył niewykończony utwór, by później już do niego nie wrócić. Nie wiem czy zachował się rękopis tego poematu, i nie mam możności sprawdzić — wobec braku odpowiednich źródeł — czy we wszystkich wydaniach podawano ten wiersz w tym samym kształcie. W każdym razie zarówno Małecki jak i późniejsi wydawcy podają go w tej formie, która dzisiaj jest powszechnie przyjęta.

Jestem osobiście przekonany, że utwór ten zawiera w sobie, widocznie nie przekreślone później przez poetę, różne redakcje tej samej wizji. Do miejsca:

Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną

utwór stanowi logiczną całość. Porządek obrazów jest w tej części następujący: 1) wizja starej Warszawy, 2) Apokaliptyczne widzenie powstania, 3) wicher duchowy uderzający w kolumnę Zygmunta, w Zamek królewski, 4) odzew ludzki i zakończenie walki.

Dwa następne drukowane po tej części ustępy, od słów: **„Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie"** do: **„Zapieją jak anioły związane w organie"**— są wariantami ustępu zaczynającego się zwrotem: **„Usłyszycie wy wtenczas serc naszych złodzieje"**, a kończącego się zdaniem: **„O katedralny kościół otrze głośne skrzydła"**.

W ostatniej części poematu strofa od wiersza: **„I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna"** po wiersz **„Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku"** wydaje się być strofą luźną, dla której trudno by było znaleźć właściwe miejsce w utworze. Drukowany po niej końcowy ustęp poematu od słów: **„Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję"** powinno się umieścić po części pierwszej jako zakończenie jej dyskursywne, polemiczne, nawiązujące do początku poematu.

Tak więc w tej nowej redakcji, która — moim zdaniem — przywraca utworowi jedyny w ramach zachowanego brulionu możliwy sens logiczny, poemat brzmiałby następująco:

Co nam zdrady! Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka —
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trojca świecących wież świętego Jana —
Dalej ciemna ulica, a z niej, jakies szare,
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare —
A dalej jeszcze, we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien, jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora spod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam, na rynku, para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami, przez niebios otchłanie,
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie,
A za zorzą wiatr, dziwne miotający blaski,
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski,
Wicher jakiś, z aniołów urobiony Panskich,
Oderwany, jak skrzydło, z widzeń Świętojańskich,
Przeźroczysty, jak brylant, a, jak ogień, złoty,
Który chwyci te ze zemsty, te światła, te grzmoty —
Zwinie — i niemi ciemną uliczkę zalęże,
Jako brona, w niej zakipi, zaświszcze, jak węże,
I naprze tak, że będzie, trzęsąca się cała,
Jako wół sycylijski, na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje!
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi
Porwie królewski zamek, otworzy, jak trumnę —
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne
Które ja dziś już chwytam myślą napół senną
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni —
Więc, kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca —
To wtedy co? Krzyk jeden, jak burza ponura,
Nie wiem: „Niech żyje Polska!" — czyli też krzyk: „Hurra!" —
Wylew, jak koń śmierci, zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją,
Powie, że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan, ogniste przywoławszy moce,
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce —
Że, jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem,
Zgruchotani — że księżyc, na niebie odkryty,
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję
Że, z niej by słowo wyszło, to, jak działa, bije —
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku —
Jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie —
Jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi —
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

Pozostałe strofy, które traktuję jako warianty, mimo, że zawierają bezcenne piękności, — należałoby z ciągłości utworu wyłączyć i zamieścić w „Odmianach tekstu".

Przytaczam je tutaj:

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . . . .
A potem co? — Stojący uliczce na stryczku
Kościół się katedralny oderwie po cichu —
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ, rzuci miastu głucho akordami —
Coraz głośniej — i całą tę harmonię senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat" uliczny i „hurra!" —
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata,
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny —
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiewa w nim jak anioł a jak szatan szczeka —
Jeden z tych krzyków szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym —
Pójdzie mimo, lecz — skrzydłem o kościół otarty,
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją jak anioły, związane w organie!

Byłoby pożądane, żeby ktoś z uczonych polonistów, a myślę tu przede wszystkim o najznakomitszym znawcy dzieł Słowackiego prof. Juliuszu Kleinerze, zabrał głos w sprawie ostatecznego ustalenia tekstu tego poematu.

mj

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8. tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
M — 01586 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".